

Zeszyty Łukowieckie

Numer 15

Styczeń 2006 - grudzień 2012 rok

Gazeta informacyjna

Od Autora!

Kolejny Zeszyt nr 15 zdecydowałem się przygotować po stosunkowo długiej przerwie. Powód jest bardzo prosty. Pragnę dotrzymać słowa i zakończyć cykl moich opowiadań o Łukowcach - spisem mieszkanców. Na pewno nie będzie on zbyt dokładny, jednak mam nadzieję, że jakieś 90% mieszkańców obu wsi znajdzie się w tym wykazie. Kolejna sprawa to; liczba ludzi, która schroniła się na Łukowcu. Chciałem tę liczbę jakoś uściślić, dziś już nikt nie jest w stanie tego dokładnie zrobić, są tylko szacunki.

W Zeszycie Nr 15 zapoznaję czytelników z opowiadaniem pana Władysława Polaka, który jest bratem Edwarda Polaka, komendanta Łukowca. Opowiadania są interesujące głównie, dlatego, że ukazują obraz nie tylko samoobrony, lecz przede wszystkim starania łukowian o zdobycie wyżywienia - zarówno dla poszczególnych rodzin, jak i dla całej społeczności. Autor ukazuje nam działania poszczególnych ludzi oraz całej zbiorowości, jaką byli Łukowcy. Mówi o wyprawach handlowych, pędzeniu bimbru i uprawie tytoni, a także o działaniach mających na celu ominięcie nałożonych na wsie kontrybucji. Dzieli się swoimi spostrzeżeniami i ukazuje niedogodności i niebezpieczeństwa życia na Łukowcach. Zastanawiające jest również to, że wogóle nie operuje on nazwiskami. Z opowiadań wynika, że mieszkał koło jakiejś ukraińskiej wioski, jednak ani razu nie podaje jej nazwy, dopiero osoby trzecie poinformowały mnie, że tą wioską, przy której mieszkał pan Władysław Polak były Nowoszyny, wieś stykająca się z Łukowcem. Zastanawia mnie, czy ten brak nazwisk nie wynika z faktu, że

Wspomnienia były pisane w latach 60-tych XX wieku? Czy autor celowo nie chciał operować nazwiskami czy to taka jego maniera?

Wspomnienia pana Władysława zostały przeze mnie poprawione, tak by były nieco łatwiejsze do czytania. Są one z całą pewnością ciekawe, gdyż ukazują rzeczywistość wojny od strony stosunkowo niewielkiej i częściowo odizolowanej od świata - kilkutysięcznej społeczności. Pani Bajorskiej - Polak dziękuję za dostarczenie mi tych materiałów. Przesłane przy tej okazji odbitki zdjęć są bardzo kiepskie - zdecydowałem się je jednak umieścić w Zeszytach, gdyż przybliżają one rodzinę autora opowiadań. Od pani Bajorskiej otrzymałem też krótki życiorys Elżbiety Polak - urodzonej w Łukowcu Żurowskim w 1933 roku - siostry rodzonej Władysława i Edwarda Polaków. Pani Elżbieta wstąpiła w 1949 roku do zgromadzenia sióstr Św. Elżbiety we Wrocławiu, przyjęła imię M. Alojzja. Jej życie to nauka, modlitwa i praca, w myśl łacińskiej formuły **ora et labora** (modlitwa i praca). Swoją posługę siostry zakonnej pełniła w szpitalu im. Czerniakowskiego we Wrocławiu i przy chorych, w tym również chorych kapłanach.

Zeszyt zawiera:

1. Od autora
2. Zapiski o Łukowcu pana Władysława Polaka
3. Opowiadania „Szpulka nici”, „Rodzina Maślaków” i „Pierwsza szklanka”
4. Listy, wspomnienia i zdjęcia
5. Spis mieszkańców Łukowca Żurowskiego i Wiśniowskiego

Po przejściu na emeryturę przez 16 lat pełniła rolę furtianki.

Daje się zauważyć, że rodziny Bajorskich i Polaków są dumne ze swej kuzynki, jej życia i jej pracy. Siostra Alojzja zmarła w lutym 2009 roku.

Pragnę jeszcze wspomnieć o pracy wydanej w formie książkowej napisanej przez młodzież gimnazjum w Kostomłotach pod kierunkiem nauczycielki pani Moniki Asyngier „Wspomnienia naszych Dziadków”. Wspomnienia dotyczą okresu wojny i okresu osiedlania się ludności polskiej na Ziemiach Zachodnich. Jest ponad trzydzieści wypowiedzi mieszkańców gminy Kostomłoty w tym kilkanaście wypowiedzi byłych mieszkańców Łukowca osiadłych w tej gminie. Chociaż daje się zauważyć, że pytania mają w jakimś stopniu charakter sztamkowy to jednak praca i tak jest bardzo interesująca, z ciekawością ją przeczytałem. Monika Asyngier jest wnuczką pana Brzusza. Praca z pewnością dała dużą satysfakcję zarówno jej jak i współautorom – młodzieży gimnazjum w Kostomłotach. Mam tylko jedno zastrzeżenie do tego materiału. Jak to się mogło stać, że w trzech czy czterech miejscach pisze się, że Łukowce to wioski małe liczące po trzystu mieszkańców?! W jednym tylko miejscu pisze się prawdę, że liczyły one około 3000 zamieszkałych osób.

Trochę miejsca zarezerwowałem też na zaprezentowanie otrzymanych listów, wspomnień i różnych spostrzeżeń dotyczących łukowian. Wśród informacji jest też wiadomość o odznaczeniu mnie „Krzyżem Czynu Zbrojnego za popularyzowanie i utrwalanie pamięci o ludziach i ich czynach w walce o niepodległość Polski podczas II wojny światowej i po jej zakończeniu”. Krzyż ten otrzymałem dzięki staraniom dzierżonowskiego Koła Kresowian, a w szczególności dzięki inicjatywie pana Kazimierza Ozgi, który wziął udział w uroczystości nadania mi tego wyróżnienia. W Zeszycie Nr 15 unieszczam też trzy opowiadania „Szpulka nici”, „Rodzina Maślaków” i „Pierwsza szklanka”. Wszystkie te opowiadania oparte są na faktach autentycznych. Pierwszy dotyczy zdarzenia,

które miało miejsce na Łukowcu i które opowiedział mi mój dziadek, jak miałem kilkanaście lat. Wracał też do tego wydarzenia kilka razy, tak, że ono mi się utrwaliło. Drugie opowiadanie dotyczy rodziny zamieszkałej pod Trembowłą we wsi Łozówka kolonia Iwanówka - wywiezionej na Sybir w tzw. pierwszej deportacji w lutym 1940 roku. Trzecie to wspomnienie pana Jana Kolaczka z lat czterdziestych, po zasiedleniu Ziemi Zachodnich.

Spis mieszkańców Łukowca, jaki zamieszczam w końcowej części Zeszytów jak już napisałem, jest niekompletny. Tym niemniej ludzie prosili o ten wykaz - niech, więc będzie ich życzenie spełnione.

Pragnę jeszcze wspomnieć o dwóch listach otrzymanych od pani Bogusławy Dębickiej – córki Adama Burdzego i drugi od pani Pietrzak - Król - córki „Pioruna”. W pierwszym liście pani Dębicka pisze, że nazwisko osoby, która doniosła na ojca, że był w AK, jest im znane. – Ojciec przed śmiercią poinformował rodzinę, że donos został mu pokazany i widział podpis mieszkańca Mieczkowa. Pani Dębicka pisze, że los tak zrządził, że uczyła dzieci donosiciela i że dzieci, jak to dzieci, dały się nawet lubić. W sercu jednak był zawsze cierń. Panią Dębicką najbardziej jednak boli próba robienia z tego donosiciela osoby represjonowanej po wojnie i pisze, że to się po prostu nie godzi.

Drugi list otrzymałem od pani Elżbiety Pietrzak - Król – córki Pioruna – pisze w nim pani Pietrzak, że konflikt ojca ze Smockiewiczem przeszedł ich wyobrażenie, zaczyna on przechodzić na drugie pokolenie i praktycznie końca tego sporu nie widać. Piorun jest poruszony krytycznym artykułem w „Gazecie polskiej” a pani Pietrzak pisze, że po latach, gdy ojca gloryfikowano, zaczął się dla niego okres pewnej goryczy. Na marginesie pragnę zaznaczyć, że w 2009 roku otrzymałem z Warszawy list od rodziny Kosarewiczów, o tym liście piszę w części końcowej zeszytów. Wynika z niego, że rodzina Kosarewiczów ma także poważne zastrzeżenia do pana Smockiewicza

Opowiadania pana Władysława Polaka o Łukowcu

Za chlebem

Rok 1941 był na naszych terenach rokiem nieurodzaju. Po zajęciu tych terenów przez hitlerowskie hordy, przysłała jeszcze jedna klęska – wylew Dniestru i innych górskich rzek. – To spowodowało w naszych stronach prawdziwe spustoszenie i doprowadziło do klęski głodu w 1942 roku.

Ciągnęły całe procesje ludzi za chlebem na tereny, gdzie można było coś kupić lub wymienić na zboże i żywność. Przeważnie ludzie wybierali się w tarnopolskie, a gdy już i tam nie było, po co jechać, zaczęli przekradać się na Wołyń. Ale gdy Niemcy na granicy dzielącej Generalną Gubernię od Wołynia zabili kilkanaście osób, zaczęto wyjeżdżać w lubelskie. Mając na utrzymaniu dużą rodzinę i po rozpatrzeniu całej sytuacji – widziałem, że posiadanego zapasu żywności nie starczy do zniw. Po prostu i ja zmuszony zostałem gdzieś szukać szczęścia. Słyszając od kilku znajomych, że w lubelskim można dobrze zamienić odzież na zboże, po prostu zdecydowałem się na wyjazd. Biorę sukienkę żony no i swoje świąteczne ubranie i ruszam w drogę. We Lwowie spotykam człowieka, który jedzie, tak jak i ja, w lubelskie z tym samym zamiarem. Jedziemy do Werbkowic, to nasza docelowa stacja. Dojeżdżamy do Rawy Ruskiej jakoś szczęśliwie. Na stacji pełno ludzi czekających na pociąg do Lwowa. Dużo ludzi pobitych, pokrwawionych zapłakanych, bo Niemcy na stacji odebrali towary, które z ciężkim trudem przywieźli na plecach (po 30 kg i więcej). Nawet kawałki chleba musieli oddać, a kto się nie spieszył, ten dostawał pałki i kolby karabinowe. Po opuszczeniu stacji, trochę pieszko, a trochę wąskotorówką dostajemy się do Werbkowic. Na miejscu zamieniamy wszystko i spieszymy się, bo robi się wieczór, a na nocleg nikt cię nie przyjmie, bo wpada gestapo i aresztuje wszystkich. Powodem takiego postępowania jest działalność partyzancka

na tych terenach. Jeden z tamtejszych handlarzy-spekulantów wybiera się do Lwowa, namawia nas do wspólnej jazdy. Ja z 30 kg pszenicy na plecach wyrażam zgodę, podobnie mój towarzysz.. Nad ranem jesteśmy w lesie przy jakiejś stacji. Nadjeżdża pociąg do Rawy Ruskiej, wsiadamy do niego i jedziemy. Przed Rawą Ruską pociąg staje – nie ma wjazdu. My wysiadamy z niego, gdyż nie wiemy, jaka jest sytuacja na stacji, obawiamy się gestapo lub żandarmerii, która zabiera wszystko. Po jakimś czasie wychodzimy na drogę prowadzącą w kierunku stacji. Od stacji idzie jakiś żandarm niemiecki, uciec nie ma gdzie i kiedy, skóra cierpnie, co będzie, tyle dźwigam to zboże i może na darmo?!. Idziemy śmiało może się uda. Słyszemy -Halt! Halt! Stajemy, mówię do kolegów: „zamienił stryjek siekierkę na kijek”. Niemiec pyta gdzie idziemy, co mamy, skąd to mamy? - Czy my nie handlarze? Pokazuję mu przepustkę wypisaną na wyjazd po nie-miecku z pieczętką. Czyta – pyta, dlaczego tak daleko po to zboże przyjechałem. –Tłumaczę, jak mogę, tylko zastanawia mnie, że on jakoś delikatnie z nami rozmawia i wszystko rozumie, bo widzę jak kiwa głową i stale mówi – gut! gut; Tłumaczymy, jak tylko umiemy i prosimy, żeby nas puścił. A on porozglądał się na wszystkie strony i powiada: „Dalej na razie nie idźta, tylko wleźta tam w krzaki, leźta sobie spokojnie, tylko żeby was tu, kto nie zobaczył. Bo tu niedługo przyjedzie autami gestapo i będzie zabierać zboże, a jak już odjadą to spokojnie możecie iść na stację”. Pół godziny po odejściu żołnierza słysząc warkot silników, a za chwilę krzyki Niemców. Dochodzi do nas daleki płacz kobiet, którym pozabierano wszystko. Leżymy, czekamy, co z nami będzie, palimy nerwowo papierosy. Po dwóch godzinach samochody ze śpiewem „heil li! heil la” – odjeżdżają. Udajemy się na stację bez bagażu jest tam około 60 osób. Nie-ktorzy pokrwawieni, pobici, a wszyscy strasznie przygnębieni - dużo kobiet zapłakanych - ”Ostatnią suknię dałam” – lamentuje jakaś młoda kobieta ze Lwowa, ażeby dzieciom, troje ich mam, kawałek chleba przy-

wieźć. Na trzy dni nic oprócz kawy im nie zostawiłam. Co ja teraz poradzę, a tak się cieszyły, że mama przywiezie pszenicy i na młynku do kawy na kaszę ją zmieli i ugotuje? Mąż na wojnie zabity, o Boże, co ja teraz zrobię”.

Nadjeżdża pociąg, wsiadamy w trójkę. Szczęśliwie dostajemy się na stację „Podzamcze”. Na stacji pełno wojska węgierskiego. Maszerują w kierunku Dworca głównego. Podchodzi do nas jeden z żołnierzy i łamanym językiem słowackim pyta, co mamy i gdzie idziemy. Po porozumieniu się z nami każe mi zdjąć worek z pleców – nadjeżdża wóz do c.k.m. kładzie na nią mój bagaż, nakrywa celtą i powiada: „Nie bój się pan, ja tobie na dworcu oddam, a ty pan idź trotuarem koło nas, to dla ciebie dobrze będzie”. Na dworcu przeprowadza nas aż na górę, daje mi jeszcze paczkę papierosów, gorąco ściskam rękę człowiekowi z ludzkim sercem, a on klepie mnie po ramieniu i mówi: „Polak-Magier dwa braty”. Odchodzi, a ja szczęśliwie do-
staję się do domu.

Świdnica 22.I.1964 r.

Serce nie sługa

Rok 1942 - wojna trwa dalej, końca nie widać, wszystkiego zaczyna brakować. Aby coś kupić, trzeba się udać do dużych miast, tam można jeszcze coś wymienić, choć i tam niebezpiecznie, bo wszędzie jak nie banszusi to Niemcy, odbiorą towar i jeszcze pałkami przyleją albo złapią i wyślą do lagru lub na roboty do Niemiec. Jednak sytuacja zmusza ludzi do działania, ludzie kombinują jak mogą. Mając liczną rodzinę i będąc jeszcze okradzionym, zmuszony zostałem do wybrania się przed zimą na zakupy. Zmówiliśmy się we trójkę - jedziemy do Lwowa. Po ujechaniu 14 km wysiadka, bo pociąg dalej nie jedzie. Idziemy na stację kolejową, czekamy na pociąg. Podchodzi do nas znajomy Ukrainiec, no i zaczyna sobie beczelnie drwić z nas stojących jak myszki pod miotłą spokojnie w kąci. Ponieważ większość czekających na stacji to Ukraińcy,

nasz znajomy czuje się pewnie. Drwi sobie z Polaki, wojska polskiego: ”No teraz to już koniec wam niedługo będzie Lachy proklate”. Wystawia Hitlera dowództwo, armię niemiecką: ”To armia, to jest czołowiecze mostutnio to samo żelizo. Skończyli Polskę, Francję a teraz tylko Rosję i Anglików to i z wami Lachy koniec będzie”. Odzywać się nie ma, co, bo i cóż do niego można powiedzieć. Policja ukraińska, banszusi, Niemcy, poskarży się, zabiorą i koniec u nich łatwy. Przecież widać, że to prowokator. Nie odzywamy się do niego, zmuszeni słuchać jego sarkastycznych wypowiedzi. Pomimo że mówię dosyć dobrze po ukraińsku, nie odzywam się. Po stacji przechodzi się starszy wiekiem banszus. Od czasu do czasu przystaje koło nas, gdy jeden do drugiego mówi coś po polsku. To nas zaintrygowało, co to może znaczyć, że nas tak jeden prowokuje, a drugi obserwuje. Po odejściu Ukraińca na bok zaczynamy żałować, że wogóle ruszyliśmy się z domu mówiąc do siebie, że pewnie to się źle skończy. Po trzech blisko godzinach męczącego czekania zajeżdża wreszcie nasz pociąg. Ten sam banszus zaczyna stojąc w drzwiach wypuszczać pojedynczo ludzi do pociągu. My trzej staliśmy blisko drzwi wyjściowych – przepuszcza różnych, no i nas trzech, Natomiast heroja Ukraińca zatrzymuje do końca, ze względu na duży bagaż. Nareszcie na końcu i jego wypuszcza. Wpadamy do najbliższego przedziału - pociąg i tak cały przepełniony. Stajemy w drzwiach, dalej trudno się wepchnąć. Podchodzi stary banszus no i nasz znajomy Ukrainiec. Banszus wyciąga pałkę, krzyczy po niemiecku, dlaczego nie pchamy się dalej. Staje koło nas na schodach, wali pałką stojących obok nas, robi się wolniej, wchodzimy do środka Ukrainiec chce się też dostać, ale drzwi już zamknięte przez banszusa. Stojąc na stopniach wagonu banszus odzywa się po cichu do mnie stojącego przy oknie: ”Jakoś ta dojeżdżiła do Lembergu – piorunie”. Słucham i nie wierzę - co polska mowa w tym znienawidzonym mundurze. Na pewno Polak – Ślązak. Myślę sobie, jak tak będzie, może przetrwamy, kiedy jeszcze są

ludzie o ludzkich sercach. Natomiast Ukraińiec uczeplił się wagonu stojąc na stopniach. Pociąg rusza. Ten sam banszus krzyczy na niego: „weg!- raus!” – Ten się nie puszcza pociągu. Banszus raz po raz wali go gdzie popadnie. Wreszcie ściąga ze stopni wagonu i leje gumą po całym ciele. Pociąg odjeżdża. Podniesieni na duchu myślimy sobie, no człowieku masz mahutnię, ale na plecach i głowie, może cię to uleczy z pychy. Udaje się nam szczęśliwie pozatwierać wszystkie sprawy. Na drugi dzień wracamy, jesteśmy na stacji we Lwowie. Czekamy na pociąg. Przyjeżdża i nasz znajomy Ukraińiec. Spotykamy się w przejściu. Pytamy: Jak tam Wasyl, udało ci się przyjechać? Co słychać? Jak załatwiłeś swoje sprawy. - A on tylko: „Niech szlag trafi Niemców” i poszedł zły jak diabeł. Wracając do domu rozmawialiśmy na temat zajścia z banszusem i Ukraińcem, czuliśmy, że pomimo ciężkich warunków, w jakich znalazła się ludność polska, jednak uda się jakoś przetrwać a lżej dla nas będzie, jeżeli takich polskich serc będzie więcej.

Świdnica 25. I. 1064 r.

Wandolina

Była to miejscowość w powiecie rohatyńskim – nieduży majątek państwa Kowalewskich. Zabudowania gospodarcze jak i sam dwór znajdowały się jeszcze w dobrym stanie. Jak starzy ludzie opowiadali dwór był budowany za czasów króla Jana III Sobieskiego. Przez tę miejscowość biegła ważna droga, po jednej jej stronie był dość duży park z drzewami i krzewami ozdobnymi i dość duży sad. Po drugiej natomiast były zabudowania opuszczone przez kolonistów polskich i dość duży kawałek lasu z poszyciem. Miejscowość ta graniczyła z kilkoma wioskami ukraińskimi, dlatego też była dobrym schronieniem dla różnych band UPA. Polacy zamieszkujący tam podczas okupacji niemieckiej byli napadani i mordowani. W 1943 r. po rozgromieniu i częściowym wymordowaniu dużej polskiej wsi – bardzo starej osady, której mieszkańcy

z powodu rozdrobnienia swych gruntów zajmowali się od kilku pokoleń przeważnie tkactwem i chałupnictwem, i byli ze swoich wyrobów znani w całej okolicy. Atak na nich spowodował dużą panikę w osadach polskich i mieszanych polsko -ukraińskich, których na tych terenach była duża ilość. Zaczęto pakować manatki i wyjeżdżać. Jedni do większych miast, drudzy na zachód w rzeszowskie i krakowskie, słowem, gdzie, kto mógł lub miał znajomych bądź krewnych. Natomiast Karolówka i inne osady polskie, uprzedzone przez byłego poślą polskiego, choć narodowości niemieckiej Limbergera wyjechała w większości do Łukowca - dużej osady czysto polskiej. Łukowiec Wiszniewski i Łukowiec Żurowski, bo tak nazywały się dwie wsie położone były przy sobie na styku powiatów rohatyńskiego, bobreckiego i żydaczowskiego. Osady te były promem, okrętem ratunkowym dla wszystkich rozbitków, którzy uratowali życie swoje i swoich rodzin. Tak, więc wiele rodzin i uciekinierów zamieszkiwało Łukowce do końca wojny. Łukowce były dość dobrze zorganizowane, a będąc osadami dużymi, rozrzuconymi na dużym obszarze, otoczone wokół lasami, dawały schronienie uciekinierom. Polacy zagrożeni w swych wioskach, kryjąc po różnych schowkach dobytek, często pozostawiali go sąsiadom Ukraińcom na przechowanie, a wynosili się do Łukowców. Gdy okazało się, że wojna nie kończy się, część ludzi decydowała się wracać do swoich domów i o ile nie zrabowano im zapasów przywozili je na Łukowiec, gdzie żywności zaczynało też brakować.

W Łukowcu w tym czasie stała ochrona mostów kolejowych składająca się z Azarbadżan, którzy będąc w niewoli niemieckiej, zaczęli się wysługiwać Niemcom. Po prozumieniu się z dowódcą tej jednostki i ofiarowaniu mu kilku litrów bimbru dowódca wyznaczał eskortę żołnierzy, jako konwój do danej osady. Najwięcej jeżdżono do Karolówki, gdzie odległość była dość znaczna. Wyprawa praktycznie zaczynała się rano, a kończyła wieczorem, bo nocą już powrót przez Wandolinę obstawioną przez

UPA był bardzo niebezpieczny. Pierwszy przejazd dość dobrze zorganizowany udał się. Natomiast drugi zorganizował niejaki „Kazik”, który w naszej bazie znalazł się nie wiadomo skąd. Będąc osobą dość odważną i wygadaną i ochoczą do wypitki i wybitki, zyskał sobie spory autorytet wśród ludzi. Jednak jak się później okazało, był to konfident Niemców i Banderowców. Wyjechali dość próżno, długo tam zabawili. Wracając z powrotem konwój został napadnięty przez Ukraińców. Tylko dzięki temu, że Banderowcy za wcześniej zaczęli napad, ofiar w ludziach nie było, ale stracono wszystkie wozy i kilka koni. Ludzie schronili się na stacji kolejowej, gdzie stał duży transport wojsk niemieckich jadących na front. Wszystkim napadniętym udało się różnymi drogami dotrzeć do swoich domów i miejsc zamieszkania. Niektórym Ukraińcom, przechowującym polskie mienie, żal było je oddawać. Dlatego część z nich porozumiewała się z bandami i próbowała nie dopuścić do oddania Polakom ich majątku. Na Wandolinie Ukraińcy założyli stałą bazę i kontrolowali w dużym stopniu ruch ludności z Łukowca i na Łukowiec.

W 1943 roku w końcu marca wybrało się dwóch braci Bednarzy i Groszek z kilkoma jeszcze kolegami do Karolowki, ażeby ze swoich gospodarstw coś przywieźć. Jechali saniami, bo leżał jeszcze śnieg. Gdy znaleźli się na Wandolinie była godzina ósma rano, zostali zatrzymani, niby w celu kontroli. Ludzie, którzy jechali pierwszymi saniami zostali wylegitymowani i zrewidowani. Gdy przystąpiono do kontroli drugiej grupy jadących pierwsze sanie po sprawdzeniu pierwsze sanie ruszyły galopem. Jeden z chłopców nie zdążył na nie wsiąść, uciepiwszy się rękami tyłu sań ciągnął się za nimi z kilometr. Bednarzy i Groszka zatrzymano i zaczęto torturować tak, że po znalezieniu zwłok trudno było ich rozpoznać. A byli to chłopcy w wieku 17,19,24 lata, bardzo przystojni i zdolni. Na Wandolinie przepadła też dziewczyna, która sama udała się do swojej rodziny- wszelki ślad po niej zaginął. Przez lato 1943 roku było trochę spokojniej. Potem jednak zaczęło się znowu

gorzej dźać z powodu kontyngentów na odstawy, z którymi Łukowiec zalegał. Niemcy zaczęli na wieś naciskać. Przyjechali na kontrolę i stwierdzili, że wieś zalega z dostawami. Jeden z kontrolerów przedstawił się, jako były inspektor szkolny ze Stanisławowa – mówił: ”Znam ja was Polaków bardzo dobrze. Wam tylko szabelka i koniki w głowie, ale już niedługo z wami zrobi się porządek. W pierwszym rzędzie z tymi, co zalegają z dostawami - zrobi się wykaz” i zapewniał, że on ma już dla nich dobre miejsce.

Ażeby uniknąć represji ze strony Niemców zaczęto odwozić częściej wyznaczone kontyngenty zbożowe i ziemniaczane. Za odstawione kontyngenty Niemcy płacili bonami tzw. „punktami” na wódkę i różne wyroby blaszane oraz skórę, częściowo też złotymi emisyjnymi. Po odstawieniu większej ilości kontyngentu przez rolników z danej wsi, należało się zgłosić do punktu skupu po odbiór należności oraz kwity dostawy. Zostałem wydelegowany do takiego rozliczenia. Zorganizowawszy kilka furmanek, które załadowano zbożem, wcześniej rano wyjechano do skupu. Ja natomiast wiozłem jednego gospodarza z młodymi końmi, ażeby dopędzić odjeżdżające furmanki a oprócz tego zboczyć na stację kolejową, która była po drodze, żeby odebrać tam należność za odstawiony kontyngent. Na stacji siedziało czterech młodych mężczyzn. Twarze mi nieznane. Typy bardzo podejrzane. Spoglądają na mnie spod oka, aż człowiekowi skóra cierpieć. Nadchodzi znajomy kolejarz, pytam o urzędnika, który przyjmował ziemniaki i ma wypłacić za nie pieniądze. Nie ma go – mówi – wyjechał do punktu skupu. Siadam na wóz, jedziemy do punktu skupu. Wpadam do biura, idę do tego, który rozlicza kontyngenty i wypłaca. Powiedziałem mu, po co przyjechałem - dobrze jest – widzę, że podnosi telefon, skąd dzwonią nie wiem, ale słyszę jego słowa: „Tak przyjechał... tak Żurowski”. Co, myślę sobie, na pewno dzwonią ze stacji gdzie byłem, czy dany osobnik z Łukowca Żurowskiego już przyjechał? Myślałem: Wybiorę pieniądze i

punkty za zboże i ziemniaki, a była tego dość duża należność – to zrobią napad i zabiorą. Po podliczeniu wszystkiego przez kasjera, każe mi podpisać odbiór. Ale rozglądając się po biurze widzę kilka badawczych spojrzeń. Odmawiam podpisu i odbioru tłumacząc kasjerowi, że mam jeszcze kilka spraw do załatwienia. Wychodzę, zapewniając kasjera, że jak będę odjeżdżał to wpadnę, gotowe wszystko jest i podpiszę. - Mówi do mnie: – Fajno jest. - Idę do magazynu zbożowego, pomimo, że kazałem czekać. - Słyszę: „Każdy prędko zrzucił swoje zboże i odjechał do domu – jakby ich diabli gnali” prosiłem rano, aby wozy na mnie poczekały – tymczasem zastaję tylko jednego starszego człowieka. Na Wandolinie zostali oni zatrzymani, zrewidowani, rzeczy zostały im pozabierane. U kogo znaleźli nóż czy zapalki tego pobili. Pozabierano im też ciepłe wierzchnie ubrania i puszczono. Gospodarza, który ze mną razem rano jechał także zrewidowano, przeglądnięto wóz i nawet szukano czegoś pod wozem. Dano mu kilka razów kolbami po plecach i też go puszczono. Napadnięci po przyjeździe do domów opowiadają o napadzie przez bandę. Wywołuje to zamieszanie szczególnie w rodzinach, których krewni nie wrócili jeszcze do domu. Moja żona lata od jednych do drugich, ale nikt nic nie wie. Na pewno zamordowali, no, bo jak pieniądze miał odebrać. Niepokój w rodzinie zaczyna narastać. Ja tymczasem każę furmanowi gotować konia do drogi, stanąć na bocznej nieuczęszczanej ulicy, aby uwagi przechodzących nie zwracać na siebie. Sam idę do biura, do kasjera. W biurze prócz kasjera nie ma nikogo. Prędko liczę pieniądze odbieram dokumenty, chowam i wychodzę. Bocznymi uliczkami dostaję się do wozu. Natychmiast ruszamy o napadzie na poprzednie furmanki nic nie wiem. Stary furman mówi: „Konie mamy dobre, ale co to będzie na tej Wandolinie – tam i konie nie pomogą”? - Mijamy jedną wieś, a potem powoli i drugą jakoś szczęśliwie udaje się - nareszcie ta straszna Wandolina. Jedziemy jak najwolniej, ażeby nie robić hałasu. W jednym z domów opuszczonych przez

kolonistów polskich widać światło. Przyglądam się i widzę wychodzącego mężczyznę z karabinem na ramieniu. Idzie w kierunku drogi, drugi mężczyzna staje na progu domu. Zsuwam się z wozu i kieruję do rowu. W rowie mokro, nad rowem drzewa, powoli przesuwam się naprzód. Bandyta podchodzi do wozu, nie zatrzymuje go – obmacuje, a widząc tylko puste worki i starego człowieka puszcza furmankę spokojnie a sam wraca na próg domu. Wychodzę z rowu, biegiem cichutko doganiam wóz, wskakuję na niego i wyrywam lejce furmanowi: Dawaj po koniach na całego. Wyjechawszy już na teren bezpieczny pytam furmana, czy coś widział, czy zauważył coś? – Odpowiada mi, że zdawało mu się, iż ktoś idzie koło wozu, ale myślał, że to ja zmarłem i że szedłem żeby się rozgrzać. W domu zastałem zapłakaną rodzinę, która nie spodziewała się mojego powrotu.

W 1944 roku we wrześniu, już po zajęciu naszych terenów przez Armię radziecką (27 lipca) na Wandolinie zostali napadnięci gospodarze polscy odstawiający plan zboża dla wojsk frontowych. Zabili jednego z młodych chłopców, reszta została uratowana przez nadjeżdżający czołg radziecki. Złapano wtedy komendanta bandy i jego zastępcę, co spowodowało zakończenie działalności bandy na tym terenie.

Świdnica 13 XII 1963 r.

Bimber i tytoń

W czasie okupacji niemieckiej wielu małopolskich chłopów mieszkających na Łukowcu, aby uniknąć wysyłki dzieci na przymusowe roboty do Niemiec, podawało do spisu rolnego, z którego wyznaczano kontyngenty dla okupanta większy areał ziemi niż faktycznie posiadali. Z jednej strony było to zabezpieczenie przed wywózką do Niemiec, ale z drugiej strony był problem, skąd wziąć zboże dla okupanta. Spis ten był robiony przez rolników z naszej wsi. Komisja wyznaczała kontyngent zbożowy i ziemniaczany dla Niemców. Spis taki stawiał komisję w przymusowej

sytuacji, po prostu pod pręgierzem woli ludności. Rolnik mający na przykład dwa hektary ziemi, miał oddać 14 cetnarów zboża - mówi do komisji: - Przecież wiecie, że ja mam tylko 1 hektar ziemi i pięcioro dzieci no i żonę - to skąd ja wam wezmę tyle zboża. Oprócz tego było też we wsi dużo uciekinierów - prawie w każdym domu. Trzeba, więc było coś obmyśleć, aby tego zboża zdać jak najmniej i aby jak najwięcej pozostało go na wsi. Po kilku dostawach do punktu skupu udało się ludziom porozumieć z jednym magazynierem - Ukraińcem, - co do kupna zboża kontraktacyjnego. Płacono mu w zamian za otrzymany kwit dostawy. Ustalono cenę za 100 kg pszenicy - 300 złotych, 250 złotych za żyto i 200 złotych za jęczmień i owies. Tym sposobem udało się uratować kilkanaście ton zboża, które w tym czasie było nam tak bardzo potrzebne dla siebie oraz dla ludności napływowej a także dla partyzantów znajdujących się w naszej bazie. Dało to też możliwość wywiązania się z kontyngentów ludności małorolnej. Było to też dobre rozwiązanie dla komisji gospodarczej. Praktycznie wszyscy byli zadowoleni z takiego układu.

Dużą pomocą dla ludności Łukowca były plantacje tytoniu, które podczas wojny dość silnie się rozwinęły. Chociaż trzeba było tytoń здаwać do fabryki - przeważnie jednak zdawano tylko jego część i to najgorszego gatunku, pozostawiając sobie najlepszy. Na tytoń był zawsze popyt, no i cena też była dobra, bo za 1 kg krajanego jakikolwiek by nie był dawano 300 złotych, co równało się cenie 100 kg pszenicy. Prócz tytoniu pędzono powszechnie samogon z buraków cukrowych i ziemniakowi. Niektórym rolnikom dawało to też pokaźne zyski, ale z drugiej strony było to przyczyną kilkunastu wypadków w tym i śmierci ludzi trudniących się tym procederem. Cena za 1 litr samogonu wynosiła - 300 złotych. W porównaniu jednak do strat, jakie ten proceder spowodował, nie opłacała się po prostu skórka za wyprawkę.

Świdnica 20.I. 1964 r.

Dołha- Ziemianka

Dołha była to stara wioska w powiecie kałuskim. Natomiast Ziemianka były to resztki z dawnego majątku, jaki znajdował się w Dołsze - rozparcelowanego przez ludność polską. Wieś była zamieszкана przez Ukraińców i Polaków - otoczona lasami jodłowymi. W 1943 roku, gdy wokoło zapłonęły kolonie polskie, osadnicy Polacy musieli usunąć się do Kałusza i częściowo na Łukowiec, gdzie wielu ludzi miało krewnych i znajomych. Proboszcz katolicki w Dołsze miał jednak inne zdanie - odradzał opuszczenia wioski. Na noc zapraszał do siebie na plebanię. „Dom jest duży - twierdził - zapalić się nie zapali, a obronić to się zawsze obronimy”. Nie wszystkim takie rozumowanie się podobało i część ludności się rozjechała. Była jednak i część, która uwierzyła w bezpieczeństwo murów plebanii - ci zostali. Pewnego dnia w marcu wieczorem podjechali banderowcy ciężarówkami pod plebanię, mówili po niemiecku, mundury i broń też mieli niemieckie. Jakoż to strzelać do Niemców, pewnie szukają kwater na noc. - myślą sobie ci nieszczęśni skazańcy. Żołnierze zrzucają jakieś beczki, na dworze ciemno, ludzie zamknięci na plebani nie widzą, co ci żołnierze robią. A ci jedną beczkę rozlewają wokół budynku, drugą zapalają pod drzwiami i kryją się do cienia, aby ich nie było widać. Kto tylko się pokaże w oknie, do tego strzelają. Około 60 osób zginęło w spalonym kościele i plebani i to w straszliwych męczarniach. Jedynie jednemu chłopcu udało się, pomimo postrzału w nogę, skorzystać z nieuwagi bandy i jakoś prześliznąć się do lasu i lasami dostać na Łukowiec.

Większość ludności polskiej, tak z Dołchy jak i z Ziemianki, kryjąc się po lasach i tylko sobie znanych skrytkach uciekła do Kałusza i na Łukowiec, gdzie przebywali aż do końca wojny.

Świdnica 26.I.1964 r.

Rewanż wielkanocny

Rok 1943

Był to dzień Wielkanocy, w którym ludność ukraińska obchodziła swoje święto. Dzień był mglisty i do tego zimny. Pora wczesna około godziny 4 –tej rano. W wiosce zamieszkałej przez ludność ukraińską, a stykającą się z naszą wsią czysto polską, zaczęły się przygotowania do Mszy rezurekcyjnej. Młodzi chłopcy, jak to jest w zwyczaju, porobionymi kołatkami zwanymi trajkotkami, biegając wokoło cerkwi kołatali przywołując ludzi na uroczystości. Z daleka do złudzenia to trajkotanie przypominało strzały z lekkiej broni maszynowej. Ponieważ był to okres dużego napięcia między Ukraińcami a Polakami, a do tego jeszcze od kilku dni krążyły wieści, że w okolicznych lasach znajduje się przechodząca banda UPA z Wołynia napięcie było zdwojone. Ja mieszkając na końcu wsi i w pobliżu wsi ukraińskiej orientowałem się dobrze, co znaczą te kołatania. Natomiast naszym placówkom wartowniczym położonym dalej, a zwłaszcza posterunkom alarmowym położonym niżej w terenie, zdawało się, że zostałem zaatakowany przez bandę UPA. Kto co miał w rękach – przeważnie kosy i różne piki na sztorc osadzone pieszo i końmi na wprost przez pola, około 40-tu chłopów pędziło do mnie okrążając moją posesję ze wszystkich stron. W pierwszej chwili nie zdawałem sobie sprawy z tego, co się stało. Ze strony zachodniej i północnej t.z. od strony zamieszkałej przez ludność polską napadu się nie spodziewałem. Różne myśli zaczęły mi przelatywać przez głowę. No jeżeli to banda UPA, myślę sobie, która mogła wózem a później polem przedostać się tutaj, to już z nami koniec. Sposobność ku temu była dobra, bo noc ciemna i mglista. Najbliższa placówka była ode mnie położona około 1 kilometra. Luka była, więc dość duża i możliwość takiego okrążenia mnie istniała. Zaalarmować i ukryć rodzinę już nie ma czasu - ukryty za ścianą budynku nasłuchuję.- „Felek więcej na prawo – słyszę - tylko nie kupą, bo nas postrzelają”. Odetchnąłem - poznałem głos jednego z ku-

zynów żony. Ale jakiego diabła oni tak do mnie walą - co nie zdarzyło się jeszcze nigdy. Wychodzę do zbliżających się – pytam, – co jest, – co to znaczy? – W odpowiedzi słyszę - a myśmy myśleli, że was napadli i pomordowali. Ale co to było, że nas zaalarmowało i do tego jeszcze aż trzy placówki – pytają? Prowadzę ich do mieszkania moja rodzina śpi. Wychodzimy na gościniec, który graniczy z terenami zagrożonymi i teraz sami słyszą i poznają głosy kołatek w ukraińskiej wsi. Ale dlaczego u nas te głosy inaczej słyszą - jakoś silniej - zastanawiają się i pytają jeden drugiego. - Dlatego – wyjaśniam, – że wieś ukraińska jest na górze pobudowana no a nasza niżej i echo tak niesie. Kończy się na docinkach jeden drugiemu. Najbardziej dokuczano tym, którzy byli powodem alarmu. A że w tym czasie był okres pędzenia samogonu niejeden z naszych był pod humorem. W końcu zaczęli się rozchodzić na swoje stanowiska.

Natomiast ludność ukraińska zamieszkała we wsi (Nowoszyny) powiadomiona przez swoje posterunki alarmowe, że Mazury idą ich rezać, wpadła w panikę. Zostawili wszystko w domach co przygotowali i upiekli na święta i zaczęli uciekać do pobliskich lasów. Jak sami później nam opowiadali, to kobiety i dzieci trzy dni w lasach siedziały, a tylko mężczyźni zdrowi i młodzi pozostali we wsi. Oni dostarczali żywność uciekinierom. Był to dla nas, a zwłaszcza dla tych, którzy mieszkali na końcach wsi, niejako polski rewanż. Niejednego też to wydarzenie podniosło na duchu, że może jakoś przetrwamy. A było to nam bardzo potrzebne - takie odprężenie naszych starganych nerwów różnymi przejściami.

W 1944 roku, po przejściu wojsk radzieckich, gdy stosunki między ludnością polską a ukraińską nie były już tak napięte, nieraz w rozmowach z gospodarzami Ukraińcami naprowadzałem ich na to zdarzenie. Zaśmiewali się wtedy sami, a za wytworzone napięcie pomiędzy nimi a nami całą winę

zwalali na swoją ukraińską inteligencję, na swoich adwokatów i popadliów.

Lotnik, sąsiad i banda

W 1943 roku z powodu zbliżającego się frontu radzieckiego dość duża banda UPA przemieszczająca się z terenów Wołynia zatrzymała się w pobliżu Łukowca w lasach zwanych „Homy” i „Bakocyn” nad Dniestrem. Jak się później dowiedzieliśmy od naszych sąsiadów Ukraińców banda ta miała liczyć około 3 tysięcy chłopów. Mieszkając naprzeciw sąsiada Ukraińca miałem z nim dobre relacje. To znaczy żyliśmy w przyjaznych stosunkach. Pomagaliśmy sobie nawzajem. On nie miał konia, więc ja wykonywałem u niego prawie wszystkie roboty końmi a mnie była potrzebna jego pomoc, jako robotnika rolnego. W dniu pojawienia się wspomnianej bandy UPA sąsiad ten przychodzi do mnie na podwórze już dość późną porą, tak żeby go nikt nie widział i silnie zdenerwowany mówi do mnie, że dobrze by było ażebym ja z rodziną na noc usunął się z domu, bo może być źle. – „Lepiej się usunąć dalej do wsi, bo wy tu tak na kraju wsi mieszkacie - to dziś jest niedobrze”. Pytam go: „Powiedzcie sąsiad szczerze, co jest, przecież tyle lat się znamy i żyliśmy dobrze, nie ma nikogo obcego tylko ja i wy”. – Sąsiad tylko rusza ramionami i mówi: „Takoj lepiej będzie dla was na noc usunąć się z domu, bo może być źle”. Zdenerwowałem się silnie, bo już raz na polecenie „obrony naszej” usunąłem rodzinę do budynku szkolnego, który znajdował się w środku wsi. Było już tam kilka rodzin wcześniej zakwaterowanych. Ci czuli się już tam jak u siebie w domu. Do dzieci swych z powodu panującej sytuacji nie zaglądałem. Chodziła tam żona donosząc dzieciom żywność i na noc spać, a ja zostawałem w domu. Zachodzę pewnego razu w dzień do dzieci i widzę je zapłakane. Wyprowadziłem je na podwórze – pytam, czemu płaczą - co jest? Dzieci widzą, że nie ma nikogo obcego, do tego zachęcone moją obietnicą, że jeżeli im źle tu jest, to ja zaraz idę po konie i wóz i zabieram je do domu. Ucieszone moją

obietnica zaczynają mówić jedno przez drugie: Tato tu nam bardzo źle jest. Tylko mama od nas odejdzie, to nas popychają, biją, nigdzie się nam nie wolno ruszyć- musimy tu w tym kąciku na korytarzu siedzieć cały dzień. Niech nas tam bandery pomordują, ale w swoim domu będziemy”. Tego samego dnia zmuszony byłem zabrać je do domu, co dzieci przyjęły z wielką radością, nie zdając sobie sprawy, co je tu może spotkać w ciągu najbliższych godzin. Po wysłuchaniu sąsiada Ukraińca, jego propozycji, co do mojej rodziny, zdenerwowałem się do ostatnich granic. Co do licha ciężkiego, myślę sobie w końcu gdzie mam się ulotnić z rodziną? Tam w szkole dzieciom było źle z domu znowu uciekaj, bo może być źle. – Głosem dość podnieconym i zdenerwowanym mówię do sąsiada: „Słuchajcie, jeżeli coś jest źle- przecież, jak co wieczór chodzicie do swojej wsi, to mi powiedzcie, a nie straszcie mnie, bo się nie boję. Mieszkam na swojej ciężko zapracowanej ziemi i w swoim domu, i na razie nie myślę się nigdzie ruszać. Ale wy dobrze zaglądajcie na moje podwórze, bo z chwilą, gdy ja z rodziną będę wyjeżdżał z domu, to i wy miejcie się na baczności. Bo może być, że po was i po waszej wsi śladu nie zostanie. Po wysłuchaniu mnie widać było, że jest bardzo zmieszany, bez pożegnania prędko odszedł do swojego domu. Ukryty w żywopłocie obserwuję, co z tego wyniknie, czy też mój sąsiad nie pójdzie do swojej wioski z raportem. Spoglądam na jego podwórze i rzeczywiście nie upłynęło 15 minut a mój sąsiad ruszył szybkim krokiem do ukraińskiej wioski. Jak się później dowiedziałem, sąsiad dał znać, aby wszystkimi siłami się starać, żeby banda nie wszczyniała żadnego napadu na Polaków, bo mogą nie dać rady, co może się tylko skrupić na nich samych? Zwołano zebranie w nocy wszystkich mężczyzn, Wybrano delegację do bandy z prośbą o nie wszczynanie żadnych kroków zaczepnych z Polakami. Przekazano, że tam we wsi polskiej jest bardzo duża siła obronna. Dali bandzie kilka krów na mięso i kilka worków mąki kilkadziesiąt bochenków chleba i banda

odeszła w kałuskie. Największą pomocą jednak w rozwiązaniu szczęśliwym całej tej sytuacji był zbieg okoliczności.

Tej nocy miał się odbyć zrzut broni, ale z jakichś nieznanych mi bliżej powodów sygnał nie został dany pilotowi. Natomiast w pobliskiej wsi polsko – ukraińskiej palono zabudowania opuszczone przez rodziny polskie. Pilot, myśląc, że to jest dla niego znakiem do zrzutu, poleciał tam, a widząc palące się domy doszedł do wniosku, że to robota banderowców. Palą się jedne – dalej bombami po tych, co się nie palą. Rano spotykam się z sąsiadem Ukraińcem. Pyta mnie, czy ja wiem, co się w nocy działo? - Mówię mu, że nic nie wiem, bo spałem całą noc, choć była to nieprawda. Mówi mi, że mogę już teraz spać spokojnie i z domu się nie ruszać, bo z ich strony Polakom nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Opowiada mi szczegóły o lotniku i bombardowaniu, a wywiad to oni mieli dobry. – Mówię do niego: „Macie szczęście, że ja się wczoraj nie wyprowadziłem, bo to samo a może jeszcze i gorzej byłoby z wami. A on powiada: - „Powiedzcie tam swoim, że już teraz spokojnie mogą spać”. I znowu uniknęliśmy grożącego nam niebezpieczeństwa, a to tylko dzięki zbiegowi różnych okoliczności.

Świdnica 21.XII 1963 r.

Bojki -sól

Po wkroczeniu armii radzieckiej na byłe nasze tereny wschodnie w lipcu 1944 r., nie było całkiem bezpiecznie, gdyż grasowały jeszcze różne bandy UPA przesuając się na zachód. Pomimo tego, że był to już rok 1945, kwiecień, niepewność i duża nieufność pomiędzy ludnością polską i ukraińską pozostawały. Powodem tego był fakt rozgromienia wielu kolonii z ludnością polską. Jak zwykle po wojnie brak było wszystkiego, więc ludność zmuszona była wyjeżdżać poza obręb swych miejsc zamieszkania, aby coś kupić, czy czymś zahandlować? Jest niedziela, kwiecień, wieczór – młodzież wraca z niesporów - na dworze zimno, kończę obrządek koło swojego inwentarza.

Na gościńcu dawno niespotykany mim oczom widok.

Przyglądam się dokładniej, ależ tak, poznaję po ubiorze – Bojki, to znaczy ludność ukraińska z okolic Bolechowa i Sokala, jadą trzy furmanki.

Zatrzymuje pierwszą; pytam, dlaczego tak późno jadą, dlaczego na noc, dlaczego nie poszukali sobie gdzieś noclegu? Tłumaczę im, że jazda na noc jest jeszcze niebezpieczna, bo grasują bandy - odbiorą konie, a i z nimi może być źle.

Dwóch młodych chce jechać dalej, natomiast jeden starszy, który jak później opowiadał, że całą I wojnę światową służył z Polakami w jednym pułku, a później był w niewoli włoskiej i Armii generała Hallera we Francji. Powiada do nich: „Ja dalej nie jadę i temu człowiekowi wierzę na słowo, a wy jak sobie chcecie, to jedźcie”. Popierają go trzy kobiety, które z nimi były. A żeby moje słowa były dla nich bardziej wiarygodne mówię: „Naprzeciwko tu mieszka Ukrainiec, jest w domu, idźcie do niego i zapytajcie, jak się sytuacja przedstawia, a wtedy się dowiecie może nawet lepiej niż ode mnie. Poszli, za chwilę przychodzą z powrotem, na ich twarzach widzę przerażenie. Pytam, co robią, czy jadą dalej, stanowczo nie, stwierdzają. Ale co oni teraz robią, gościniec za wąski żeby nawrócić – sąsiad ich nocować nie chce, bo się boi, to jedno, drugie, że nie ma gdzie. Co mają robić, sami nie wiedzą. Proszą żebym pozwolił im wjechać na podwórze nawrócić wozy. Nadchodzi na to sąsiad Ukrainiec, mówi do nich, że najbezpieczniej i najlepiej będzie dla nich, jeżeli ja ich u siebie zatrzymam i przenocuję. Przyglądają mi się spod oka, niepewni, sam nie wiem, czy dać zgodę na przenocowanie, czy też nie. A może się coś stać w nocy i później odpowiedzialność za to spadnie na mnie i na rodzinę i ludność polską. Występuje stary Bojko i prosi w imieniu wszystkich a żebym ich przenocował. Wyrażam zgodę, ale z zastrzeżeniem, że całą noc mają pełnić wartę w podwórzu. Jest sześć osób trzech mężczyzn i trzy kobiety –

za najmniejszym podejrzanym ruchem mają mi dać znać.

Godzą się na wszystko i są bardzo zadowoleni. Sąsiad Ukrainiec odchodzi, zapewnia ich, że mogą być spokojni i spać spokojnie. Po ulokowaniu wozów przy budynkach gospodarczych i koni, gdyż na wozach mieli sól do zamiany za zboże, zapraszam ich do mieszkania. Młodzi ociągają się odmawiają, natomiast stary głosem dość podniesionym powiada do nich: „Jakie z was durne capy, jeżeli ten pan nas przestrzegł przed niebezpieczną jazdą na noc i dał nocleg, to wy się jeszcze durnie boicie? Ja idę, a wy marźnijcie sobie na dworze.” Po ugoszczeniu ich kolacją no i trochę samogonem później tytoniem do fajek język im się rozwiązał. Czują się jak w domu, u kobiet widać łzy w oczach. Pytam, dlaczego płaczą? Spoglądają na mnie i płaczą jeszcze więcej. Stary Bojko mówi do mnie: „Ja znaju pane czoho, bo to wszystko winna nasza ukraińska, nasze adwokaty no i papadie, bo im się mażyła somostijna. Czy nam źle było dawniej, razem żeśmy z Polakami bawili się pili, żenili się między sobą, całą wojnę światową razem odbyli? Dopóki było u nas mniej mądrych i niby mądrych i uczonych, dobrze było i do czego doszło, że człowiek człowieka się boi i nie wierzy mu. Kobiety płaczą, bo się nie spodziewały już do domu wrócić. A wy panie przestrzegliście, przyjęliście nas na nocleg no i daliście jeszcze jeść, bo one panie już dwa dni nic w ustach nie miały. Jakby to dobrze było na świecie, żeby tak człowiek człowiekowi nie był wilkiem.

Po dłuższej rozmowie pytam wreszcie, co umyśla z tą solą zrobić, są bezradni, proponuję im rano poszukać nabywców we wsi. Są zadowoleni. Długo gawędzimy jeszcze przed snem. Rano dają znać do wsi. – W przeciągu paru godzin wszystką sól przehandlowali - są po prostu uszczęśliwieni dobrą zamianą. Żegnają się i gorąco dziękują za okazaną pomoc, ze łzami w oczach wracają do swoich domów.

26.I.1964 r.

Uwagi do wspomnień pana Władysława Polaka

Wspomnienia były pisane ~~przez~~ pół wieku temu przez człowieka, który skończył kilka klas szkoły podstawowej, tym większa chwała dla niego. Na Łukowcach zdecydowana większość ludzi kończyła edukację na kilku klasach szkoły powszechnej. Było też sporo ludzi, którzy byli analfabetami, na naukę powyżej szkoły podstawowej decydowali się nieliczni. Bardzo często zależało to od możliwości finansowych rodziców. Pamiętniki są z całą pewnością ciekawe i wartościowe. Pan Władysław Polak odważył się na opisanie swoich przeżyć i doznań. Ja je oczywiście trochę poprawiłem, jednak starałem się, jak najmniej ingerować w tekst, który pomimo swoich słabych stron jest dla czytelnika zrozumiały. Zamieszczam go w Zeszytach z dwóch powodów; dla celów porównawczych i jako dokument. Na mnie duże wrażenie zrobiła zaradność pana Władysława a także jego spostrzeżenia, przeżycia. Fakt, że w niemieckich mundurach zdarzali się i Polacy budzi, nawet pewne zdziwienie, ale tak widocznie i było. Zwracają także moją uwagę ceny, na zboża, tytoń i bimber, a także zaradność mieszkańców Łukowców, nie mówiąc już o samych przeżyciach autora czy to w przypadku dostawy zboża i ziemniaków dla Niemców, czy w przypadkach wypraw po żywność dla swoich rodziny poza teren Łukowca. Także, postawa pana Władysława budzi szacunek – humanitarna, ludzka - człowiek ten przez cały trudny okres utrzymywał kontakt z sąsiadem Ukraińcem i potrafił przestrzec nieznanym Ukraińców - wiozących na wymianę sól przed grożącym im niebezpieczeństwem.

Ponieważ wspomnienia te otrzymałem od córki pana Władysława Polaka - pani Bajorskiej z Bielska – Białej i jej należą się serdeczne podziękowania.

Zpowodu nieurodzaju w roku 1941 i takich zim 1940-41. i roku 1942
nie był rok ^{urodzajny} ~~nie~~ przeważnie w okolicach nad rzeką Dnieprem, gdzie to około
1941 roku po wojnie przez hordy hitlerowskie tych terenów położyły strasne
przez swój wyjątek, i innych nie górskich spustoszenie, co również wpłynęło
na nieurodzaj i wcale przetrwało. Ludność tych okolic zaczęła po prostu głodować
licząc co dzień przetrwanie ludności za chlebem, w którym gdzie można było co kupić
lub wymienić, jeżeli ktoś coś posiadał do zamiany. Przeważnie w Ternopolu
a gdy już i tam nie było, po co jeść, zaczęło i przekroczyć się i na Wołyniu.
Ale gdy niemyśmy na granicy dwulecia. Generalny gubernator tak po prostu odwrócił
od Wołynia, na tej granicy zabito ludność ośrodków przy przekroczeniu granicy.
Zaczęło się wyjazd w Lubelskie, Mójże rodniem doświadczył, po rozpatrzeniu całej
swej sytuacji, w domu, a widząc że posiadany zapas żywności, do smierci
mi nie wystarczy. Po prostu emigracyjny byłam i ja wyruszyć gdzieś szukać swajacji
stądże od kilku znajomych że w Lubelskim można dostać chleba i
wyjechać. Biorąc z sobą sukienkę no i swoje letnie ubranie.
We Lwowie spotykałem człowieka który też jadł w tym samym strumieniu, i też z zamiarem
ucieczki ze nie było sam jeździł jak mój, przegodny kolega, jedliśmy do
Worobowic. Pojeżdżamy do Rawy Ruskiej jakby myśliwiec, na stacji pełno ludzi
czekających na pociąg do Lwowa, dworów, poturkanych, a kobiet zapakowanych
do niemy na stacji odebrał im wszystko co z ciężkim futrem to 30 zł
i więcej na pleców do stacji Rawa Ruska przyjeżdża, nawet kawalki chleba musieli
wysoko oddać, a kto się nie spieszył ten dostawał patki i dolby karabinowe.
Po wyrośnięciu ze stacji Rawa Ruska trochę wzdłuż torów a resztę pieszo
dostajemy się do Worobowic. Na miejscu mierniśmy wyszperali. Spisaliśmy się
to uciec, a na noc nikt nie chce zamieszkać, to wpada Gestapo i aresztuje
wszystkich, dlatego to prawda do dnia w okolicach nie było partyzanckim
jeden z tamtych handlowych spekulantów. Wybiła się do Lwowa na noc
znając różne drogi i ścieżki najbliższe do Rawy Ruskiej namawia nas do jazdy
z trykietem na przemyśle na placach w workach wybijamy się na cały noc
Kad ranem jesteśmy wleble na jaski stacji, nadjeżdża pociąg sielany
Przed stacją W Rawy Ruskiej pociąg staje nie mając, w jadru, wysiadamy, to nie
wiemy jaka sytuacja jest na stacji, czy niemy Gestapo, Landeswehry, która zabiera
choć. To jakims nam wychodzimy na drogę idziemy, w kierunku stacji
Od stacji i dalej jadąc co dzień z niemy, nie mieliśmy już nic co i kiedy i gdzie
skóra ciępnie, co by było, tyle dążeń nie darmo, istniemy im to trudno się wyżyć
a może by uciec, "Halt" stopamy, mówię do kolegi zamienić strój za sukienkę
na sukienkę, Niemiec pyta gdzie idziemy, co mamy i skąd to mamy, czy handlowe
Mając przepustkę wypisaną po niemiecku na wyjazd spierając podsuwam
mu pod okiem, było czegoś tak daleko ci, po to sobie ja przyjechałem
tymczasem jak może tylko zastanawia mnie że on, jakby to było, jakby to
było, nie i wszystko rozumie, to widzę jak kiwnie głową, i stało się mi to już

[illegible]

2. Ich bin sehr an der Spitze und so kann ich mich
so gerne setzen und mich machen und
Dankbar, da ich mich nie so sehr
und ich mich nie so sehr

Judicia 22/I 1964

Serce nie sługuje mi zwa co to prany
nie da się ołui przemora w kajdany

Rok 1942 wojna trwa dalej końca nie widać, występnego zaczęła bratować
A żeby coś kupić trzeba się udawać do durych braci, tam coś można
jedną wymieniać, choć i to niebezpiecznie, bo wzdanie jak nie bawimy
to niemy, odhoro, do tego i palkami przyleps, albo sięgaj do lewej
i wyśle na roboty do Niemiec, No ale trudno, miło na to nie eważ,
Każdy kombinuje jak może, jednym jakos to udaje, innym nie.
Mają dość klanu rodziny tembarckiej, ie zostatem obstrakcyj re występnego
co ja i rodu na posiadate, Kamurony byłem i ja. co skolewki kupić
tembarckiej ze nadchodząci ci ma,
Zmarliamy się we trzech jedziemy do Lwowa, po ujechaniu 14 kil metrów
wysiadka ko tem porzga, dalej mi idzie, Idzie my na stary kolejarz, on kamny
na porzga, Podchodzi do nas trzech nam enajomy ukraińskie zamy nam
widzenia, No wszyscy sobie kręcą nie dani z nas stojących w kęci jak myś
pod miotła, Ponieważ przeważnie na stacji kolejowej czekający na pociąg
ukraiński, czuje się nam przygodny majomy jawny siebie, Dwie sobie z Polaki
wojnie polskie, No teraz to już koniec wam miedzi byndie, Lenki prokate,
Nystani Hitlera, dowództwo armii niemieckiej, to armia to je wotniere miodutnie
to samo zeliro, Słuchajli Polscy Franjy a teraz tylko Rosjy i Anglików
to i eważni lenki koniec byndie, Odrywaj się niema co, bo i coś do
niego można mieć, polskie ukraińskie bawimy niemy, prostają
sami i koniec i nich taty, premier widać ie to proskato,
Nie odrywając się do niego, zmuszani słuchamy, Gominie ze miodutnie
dość dobre po ukraińsku, Po stacji przechodzi się stary wiekiem bawimy
Od czasu do czasu przystaje ko nas, gdy jedzie do drugiego coś amurimy
do siebie, po polsku, Zaintrygowato to nas bardzo, co może to znaczy
ie was tak, jeden proskuje, a drugi, zaczął obserwować,
Po odejściu ukraińca na bok zaczęliśmy się do siebie zadowalać ie wogóle
miałimy się edom, mawie ie pewnie to się z nami ale może skomuje.
Po trzech blisko godzinach męczenia, czekania, nadzieja nam pojęty
Ten sam stary bawimy rany na stajce w dworku, wypuszcza pojedynczo
ludzi do pociągu, duży trój stajimy blisko drzwi wyjściowych, w kęci
przejmowa roany, no i nas trzech, nato miod chroja ukraińskie
cały myje do końca, bo ma dury ładunek, we wotni, narecie
wypuszcza, Wpadamy do najbliższego przedmiotu, bo i tak cały przepełniony
stajimy w dworku dalej wejść trudno, podchodzi stary bawimy, no i nas
enajomy ukraińskie, bawimy wyciga palty, teraz to byndie lenki myśli my
kiedy dłużej nie pchamy się dalej, po niemiecku, staje ko nas nas schadka
Wale palty ko nas stojących przed nami, robi się wotni wchodimy
do dworku, Ukraińskie chce się tej dostać ale dury już kam knięta
joni bawimy sa stary, to stoją na schodkach bawimy odrywa się po ichu
do mnie stojącego wotni robi bym, jakos te dopięte do Lwowa
pięćmi, stękam, nie wiem co polski mowa w tym z niemiardnym
mundure napewno Słuch Polak, myśli sobie jakos to byndie
moje imię wotni budy i stare ie ludzie o ludzku sercu

Natomiast ukraińskie uderzyło się wagonu, stojąc na schodkach
Pociąg ruina, ten sam bannus, kryjący na niego, zreg-raus, ten się
nie puszczając, wali grom, gdzie popadnie, raz, po raz
z cięga z wagonu, teraz jebi leje grom na całego, pociąg odjechał.
Podnieśliśmy na duchu odjeżdżający, myśleliśmy sobie, no oboje wiecie
masz mordercę ale na płaszczyźnie i głowie, i może cię to ulecę z pychy
Udać się nam do cię myślenie, wszystkim poratować się sprawę,
Na krógi dzień wracamy, jesteśmy na stacji we dworcu czekamy na pociąg
Przyjeżdża i nasz ukraiński, spotykamy się w pociągu, pytamy jak to
Wszystko udało ci się przyjechać, co słychać, jak załatwiłeś swoje sprawy
A on tylko naj-silniej trafił kłopot i powiedział ci jak diabła
Powracając do domu rozmawiamy na ten temat naj-silniej z bannus
i ukraińcem, myśleliśmy że powinniśmy być w Warszawie w jakichś warunkach
się ludności Polaku jednak może ude się jakoś przetrwać, a kiedy
ale nas bynajmniej nie było, takich serc Polaków bynajmniej więcej w amundach
niemieckich, Było to dla nas pierwszy nadstęp przetrwania

I przegadaliśmy z dawną znajomym wiersz na pamięć

że ktoś dobrze znał serce ludzkie kiedy ten wiersz ułożył

że Serce nie służy nie zna co to jest

Świdnia 25 I 1964

2-V

Była to miejscowość w powiecie Rochatynskim niedaleko miasteczka

Kowalewskich, zabudowania gospodarce jak i sam dwór, majłowały się jeszcze w dość dobrym stanie, pomimo że jak starzy ludzie opowiadali prawdopodobnie, miały być budowane za czasów króla Sobieskiego. Przez tę miejscowość biegła główna droga. Po jednej stronie drogi był własnie dość duży park z różnymi drzewami krasowni ozdobny i dość duży sad. Po drugiej stronie natomiast były zabudowania opuszczone byłych holendrów polskich idące dalej kawałkami lasu z podnyciem. Miejscowość ta graniczyła z kilkoma wioskami ukraińskimi. Dlatego była dobrym schroniskiem dla rosyjskich band U.P.A. Polacy zamieszkujący w wioskach polskich, podlegających niemieckiej okupacji, przejeżdżając tą drogą, byli napadani i mordowani. W 1943 roku po rozgromieniu i ucieczce wojsk niemieckich, dużej polskiej wsi bardzo starej tradycji ukraińskiej i z powodu rozdrobnienia gruntów, zamieszkiwali ją w większości chłopi ukraińscy. Wiele z nich zostało jakimiś wspomnieniami rozgromienia przez bandy U.P.A. i ucieczce wojsk niemieckich. Spowodowało dość duży powrót w okolice i wioskach polskich i ukraińskich polskich ukraińskich, których było dość dużo na całym terenie powiatu Rochatynskiego. Dlatego polacy uważali, że jedząc, jedni do ukraińskich miast, inni do zachodu, w Przemyśle, Krakowie, gdzie było trochę miast ukraińskich, w tym też przewoźnych. Były to jednostki ludzkie więcej wrośnięte lub też chorzy, natomiast Holendrowie i inne osady polskie uprzedzone przez byłego polskiego szefa narodowości niemieckiej Limbergera, wjechały, w większości do Łukowa, dużej osady polskiej. Łukowiec Winiarski i Turówkę, bo tak się nazywało. Był na styku trzech powiatów Rochatynski, Burecki, Łukowski. Osada Łukowska w roku 1943-4, była tak, jak okrutnie walczyli na falach w burzonym oceanie i potem w wszystkich okolicach, którzy wracali z nie swoimi czy też rodzinami. A nawet i z innymi powiatami jak Katuszkiś. Dużo rodzin zamieszkało w do końca wojny w Łukowie. Dlatego też było dość dobrze zorganizowane, a tymczasem osady były rozrzucone na duża obszar, obszar w okolicy lasami. W tym wszystkim niemieckich osad polskich były mało rozwinięte. Polacy zagrojeni na tych niemieckich wioskach, brzyli po różnych schowankach swój dobytek, jak zboże, czy inwentarz żywy, niektórych, chłopów ukraińskich, także ludność wiejską na wieś wyjeżdżali do Łukowa, bo tam sprzedawano ich jakoś przez Rencje miasteczka i do roboty porostawiali na pastwę losu. Widać w konie wojny iż nie konie, a żywności. Dlatego nie którym brachować tam tym i u których kwatrowano jak tym co przyjeżdżali. Wiele rzeczy przemyślano nad tym, aby ich dostać do tych opuszczonych gospodarstw, może o ile nie zabawiano im ich u których zapasów to się da coś brać.

W pierwszym rzędzie z tymi co zalegały to były zrobione wykazy, że on ma na nich
 dobre miejsce. Nigdy niebyło umiarkowanej repryzy ze strony Niemców,
 z tego powodu nie było ich wyznaczone kontygenty, i borsowe i ziemniaki
 do oddawiania kontygenty, Niemcy, płacili komasni tak swymu
 punktowi na wodę różne wyroby blana i skórę, oczywiście z tymi
 emisejami, Po oddawianiu większej ilości kontygentu przez rolników ze swy-
 mi, należało się zgłosić do punktu skupu, po odbiór należności, jak i odbiór
 swych dostaw i rozliczenie, dostawom wydelegowany do wyjazdu wyniesiono go
 punktu skupu, zorganizowano kilka furmanek, które załadowały zboże
 wreszcie odjechały, ja natomiast wsiadłem jednego gospodarza z młodym
 koniem, a żeby dojechać odjechać furmanki, przez tego zjechać na
 stację kolejową która była po drodze znajdując się do skupu a żeby
 odebrać należności za oddawianie kontygent ziemniaczany.
 Na stacji siedział czterech młodych mężczyzn, którzy mi nie znali
 bardzo typy podejrzane, spoglądając na mnie spod oka aż do momentu
 skura ciepłoty, nadchodził znajomy kolejarz, pytam go, o wyjazd
 który przynosił ziemniaki i ma wypłacić za nich nie ma go
 mówić wyjechać do punktu skupu, Siadam na wiez jedzie mi dalej
 przyjeżdżam do punktu skupu, wpadam do biura do tego który wypłaca
 i rozlicza, po przywitaniu się z danym kasjerem, mówię co przyszedłem
 dobrać ja. Telefon do niego słychać niemiernie, ale słyszy jego odpowiedź
 do słuchawki, tak tylko nie przyjechać, tak. Zaczynam
 Co myślałem sobie na pewno, drwonię ze stacji gdzie byłem, poprzednio
 czy ja już przyjechałem do punktu, czy dany osobnik z banku znowa
 już przyjechać, O ile wybiorę pieniądze i punkty za zboże oddawione
 abyli tego dotyczyć dane należności, to zrobił napad i odbiór.
 Po obliczeniu wszystkiego przez kasjera, każe podpisać odbiór,
 Ale rozglądając się szybko po biurze widzę kilka utkwionych
 badawczych spojrzeń, Odmawiam podpisać i odbiór, tłumacząc
 kasjerowi że mam jeszcze kilka spraw do załatwienia wychodzę
 Łopacówna kasjera że jak będą odpisywać to uprząż, gotowe już jest
 wyjątko, podpisy i zabiorę, on mami fajkę, Idę do magazynu zbożowego
 pamiętam, że prosiłem rano odpisać tych furmanów a żeby rano
 pojechali nie pójść, zastaję tylko jednego starego który sam
 sobie nie mógł dać rady, czekał na pomoc, pytam go o resztę
 furmanów, powiada każdy przed siebie swoje zboże i odjechać
 do domu jak by ich dźwili gwałci, Po przyjeździe na Nanobling
 zostali przez silną bandę zatrzymanym z rewidowaniem magazynów
 Co tylko z rzeczy które mi zabrała zabrano, kto miał noż
 zapałnicę, pistolet, powiadając że co to masz na nos rżnąć
 i policie ciębie wieszanie zabranie zabrano, i puszczono.
 Gospodarka który ze mną rano jechał bardzo skrupulatnie zrewidowan
 jak wóz i nawet pod wojeon, dano mu kilka kół po plecach
 i stójcie się nie nie zabrał i ten furman.

Napadnicy po przyjeździe do domu, i opowiadając w wiosce, o napadzie
 przez bandę na nich, wywstało to samieśwanie i paniki, co się stało
 z resztą no i ze mną, zona lata od jednego, do drugiego, nikt nie
 nie wie, Na pewno sam mordowali bo przecież ja przecież odebrałem
 kiedy oni tak było nas młodzi, to teraz musieli mnie stać na
 i zabrać pieniądze i sam mordować, kiedy go jeszcze nie ma,
 zoną i zapałona a rodring ciekra moie jeszcze przyjdzie,
 Turmanowi kosił konie ładował do drogi, a by był gotowy,
 stęga mu na boony więcej na rany nie było ułny, aby nie wrócić
 uwagi przechodzących, Sam iść dobiwa do kosiwa,
 Wiosne proś nie ma nikogo, przycho liwy odbiorem chowanie
 i wychodzę, boemy mi ułickomni ale mi e nanyoni dostają się
 do wozu, Należy miast całkiem powalić się nie wrócić na
 siebie uwagi jedyną, O napadzie na poprzednie furmanki
 nie wiem, Na dworze ciemno choć oko wyrol, pada deszcz
 dość silny wiatr, no listopad, Stary furman ma w konie mamy
 dobre ale co ta lądzie no tej Wandolinie, tam i konie nie
 pomoże, Mijamy jedną wieś, powoli drugą pełną ubrańców
 powoli jakby się im się udeje, Karesu ta strona
 Wandolina, jedyną jakby wolni, aieby nie robie chatale wozu
 Wjednym z domów, Ojciec cięgił przed kolumnami palisad widać ślad
 Sędzi dają się dobrane śladu wychodzącego mierzgają z koralami
 całkiem nie rami, idzie w pięć minut drogi drugi staje na progu
 domu, I słowem się wozu przycho do rozu, w rozie młoko
 ale nad rosem drewa, powoli posuwam się naprzód udeję
 Bandę podmedły do wozu nie zatrzymuje obracać a widzę
 że tylko proze warki i stary ciotek do tego jedyną przysięst
 furmankę spóźni, a sam wrócił się z powrotem
 Wyprzedził z rozu biegnie na palisadę dopie chie ten wóz nko cy ten
 wyławiający lejce dawaj po koniach na całej, Wajchawny na teren
 już bezpieczniej pytam furmana czy coś widział czy rozmawiał
 wos, Powiada do mnie że dawano się mu że ktoś niedługo to wozu
 ale myślał że to ja, że z marstem i z siedlami z wozu
 aieby się rozgadać, W domu z ostatkiem rodring zapędong
 nieprzekładając się mego powrotu.

W roku 1944 we wrześniu już w tym czasie tych łowów przez Armij Radnicką
 27 lipca 1944, na tej Wandolinie, tej zostali napadnięci przez Armię Bandę
 gospodarne polscy oddawiający plan zborowy dla wojsk frontowych
 po rozgromieniu i zabiciu jednego młodego chłopca
 nante zostało uratowane przez naffię drażący cioty radnicki
 jak również zapano jednego komendanta Bandy i zastępcę
 co było zakończeniem śmiertelności bandy na tym terenie

Siednica, 13 XII 1963

za okupacji niemieckiej dużo rolników było unas matosnych.
 Aleby uniknąć wysyłki dzieci na przymusowe roboty do Niemiec, w ramach
 kontyngent, Popodawali sobie do spisu rolnego, z którego wyszedł
 kontyngent, aleat ziemi większy od faktycznej posiadanej. Z jednej strony
 było to panika zalegnięcia, niejako, ale z drugiej strony to było
 sobie, jeżeli się tego polu nie posiada. Spis ten podany pnu każdego gospodarza
 osobiście, doręczony, z własnym podpisem, miał być aktualny dla
 wybranej komisji przez rolników danej wsi, wysłanym tej kontyngent
 zbożowy, natomiast z drugiej strony medale był przywilej danej rolni
 matosnego, i co stawało komisji gospodarzy, po prostu po
 przegięciu ludności zamieszkałej na danej terenie. Przychoć do dan
 osobnik naprzykład, mający jeden hektar ziemi miał dać 7 cetnars
 zboża z hektara, muwi do komisji, przecież dobre wiecie że ja mam
 tylko 50 arów a pięćdziesiąt dzieci no i żonę, to skąd ja wam wezmę.

Proca tego było dużo zakwaterowanych bo prawie w każdym domu było
 archimada uciekinierów z terenów zagrożeń. Wio trzeba było coś obmyślić
 aby jak najszybciej zboże porostało w danej wsi. Po kilku dostawach dopuścić
 skup i rozładunku się na miejscu w sytuacji, udało się porozumieć z ja
 z magnatami ustraić co do kupna, płacej innu do ogółu pieniężne
 z zamianą co otrzymywano iż hurt dostawy zbożowej do skupu.
 Ustalono cenę 300 zł za przenie, 200 zł żyto, 200 jęczmienia i owsa.
 Tym sposobem udało się uratować kilkanaście ton zboża.

które w tym czasie tak ciężko było mieć tak potrzebne, dla
 jak i ludności napływowej, jak również i otronców z najdalsz
 się na naszym terenie, Ponieważ data możliwości i matosnych

rozwiązano się z ciężkich idejzacji kontyngentowych
 było ten dobrem rozwiązaniem dla komisji gospodarzy
 z. Projekt tego byli wyszy rządowe leni.

Dużo pomocy były plantacje tytoniowe które poddawanoj do sił silnie
 się rozwijały, choć trzeba było edać ogół do fabryki tytoniu niemieck
 na kontyngent, ale przeważnie z dawano tytoni najgorzej gatunek
 porostawiając sobie ogół większy i do tego gatunek najlepszy.
 Na który zdawało było amatorów dużo, no i cena też była dobra.
 To był tytoni krajany jadokolwiek, by on był był 300 zł
 co równo 100 zł przenie, Poim tytoniu przono samogon bimber
 z buraków cukrowych, ziemniaków, z jednej strony niektórym ter
 dawato do sił pokarmu żywności, ale z drugiej strony było przyznan
 kilkunastu wypadków śmiertelnych, zamieszanie i panika
 jak również wypadków kastro fabryk, przyznan kilkunastu
 śmiertelnych, choć cena też była 300 zł z litr samogonu
 ale w porównaniu do stat morachy i siły cenowej nieoptera
 się jak mówi przysłowie, skóra za wyprawę

Świdnica 20 I 1964

(Dotyka, Ziemiańska.)

(Dotyka była to stona wioska w powiecie Haliuskim. Natomiast Ziemiańska były to miasta z dawnego majątku Dotyki, rozparcelowane między ludność polską, Dotyka zamieszkiwała przez ludność ukraińską polską. Wokół otoczona lasami potężnymi. W roku 1943 gdy wokół płynęły kolonie polskie, mieszkańcy chcieli uciec do Katińska a częściowo do Łukowa, gdyż było, miasto znajomych i krewnych. Był ktoś kto próbował odradzać tego, na noc, ponieważ chodzą do mnie na plebanie. Dom jest duży, murekowany, zapalił się nie zapalił, i chociaż to się zawnie płonęło, na występnym to doświadczenie do przekonania. Była jednak jedna część ludności która wierzyła w bezpieczeństwo mieszkań plebanji. Pewnego dnia w marcu ukraińcy, podjechali bandycy i znowu autem pod plebanie, mowa rosła się niemieckie, mundaury też jak i broń niemieckie, fajpów to strzelali do Niemców, pewnie młoda gwiazda na noc, myśli sobie i nie tracąc siły skasane. Zbliżała się jakaś biała, na dworze do ciemności samkijci nie widząc co ich żołnierze robią, a ci jedną białą rozlewały naokoło do mnie drugą zapalając pod dachowizną, kryjąc się do ciemności aby ich nie było widać. Kto tylko się potaszał w oknie do tego oddają strzały. Około 60 osób zginęło w trakcie tych nacieraniach. Jedynie jednemu chłopcu udało się pomimo potrafić w nogę jakos przeżyć i uciec z pomocą i nieuciążliwej bandy. Doświadczył się do Łukowa, no z przyczyn w kene, a i tak latami dobiegał się do Łukowa. Natomiast wznosił tak Dotyka jak i Ziemiańska która była się po lasach i po swoich tyłko znanych sztytach, broni wyjechała do Katińska a część Łukowa która przybyła aż do końca wojny.

Ramię

Indica 26 I 1964

Dotyka upeku ??
(Chien - Musi ripa)

1-11

Był to dzień Wielkanocny w którym ludność ukraińska obchodziła swoje święto, Dzień był to mglisty, i do tego dookreśliwie zimny.

Poraz dala wczesna, około godziny 4 tej rano, wiosce zamieszkałej
przez ludność ukraińską, a stającą się, z naszą wsią, cyfry polską
zaczęły się przygotowania do Ruruczi, Altdri ~~zaczęły~~ jak z wykle wne dnie
jest we wsiach, porobionymi, kolatkami, czy też kraj polskami,
latającymi około cerkwi, kolatali sobie, w z dalszej Odległości, do zbudowania
było podobne, do strażów z ketrzej broni małej nowy,

Ponieważ był to okres bardzo krytyczny dla ludności zamieszkującej na
tych terenach wschodnich. Po tego od kilku dni, przysięły wersje i obojętne
lasach, znajduje się przecho drzewa banda UPA, z obok Wotynia.

Spowoduje to było u nas w wiosce, dość silne napięcie nerwowe.

Ja mieszkając na kranium wsi i w pobliżu wsi ukraińskiej orientowałem się dobrze, co znana ta histotomia, nato miało plany wki położone nierz.

a z własną, postępową alarmową, zdawołał iż z resztą napadnięty
przez bandę U.P.A. Wszyscy co miał wykończeni a przeważnie osoby różne jak
na ulotce opisane, piewo i koimni, na wprost przez pałac, około 40 stu
tłopa przyjeżdżało do mnie, Okręcając z wszystkich stron kładąc się na
Kierunek iurki nie mogłem sobie zdac sprawę, co się to dzieje.

Taj strony to strony zachodniej, i północnej, to i nowy ad samowolny
 przy ludności polskiej, napadu i z nigdy niespodziewanym. Poime myśli
 przetłumaczy mi przez głowę, no jeżeli to handa, u P. A. myśli sobie

które mogła uwzględnić a później, potem ich przekazać, to już z nami koniec.

Bo sposobnosti byta dobra tu temu, dleto je noc, byt bandro myslita i ciemnu
A najblizka plavivta byta okolo kilometra olemmie dopiero, uice luka byta
doie duria, uice i mosliwasi przesunycja byta duria

za alarmować i pobudzić, rozbijanie arcybiskupa ukryte, jemu nie ma czasu
ukryty za ścianą budynku nadstępcy, Felek więcej na prawo,

Tyko nie kupi, to was postrelaja, Odetchnijem porajazie głos znajomy
mi dobrze jednego z kurynów zony, Ale jakiego dżdża, oni cały kupi
tu toki wala, do mnie, co ~~zaj~~ zwały nas okupacji, nie było stórowane
myśl znow sobie, Wyhodze do nich pytam co jest co to emary i ma
A my inny juri myśleli ie was napadli i juri wyślechił pomordowali
Ale co to było ie nas zwałarnowano i do tego an try filarowin, pyłaja, ie,

Choćwadsz do mieszkani, wuyasy, prawda obuci, ubrani spiy sobie spokojne
Kyshe dymy na goicimier, ktury granicy nas od turytorgum iagorie negs
A tioru sami styng, i poznajsz, gtoś kotatelsk we wie ukraiński.

Ale dearze was ten głos inowy, wyglada i i chnie go slychoic jak tu
u ciebie pyta ja minie, Platego ze was ukrainski byla na jone
pobudowane no a wy mieszkacie calkiem nizej niz i głos wy daje
inny, stuchaja ich wly, bawicy sie na dworinkach jeden drugiemu

111

Zaczeli sobie jeden drugiemu wóno łótki brotochfilne przylepić
a że wtenczas był czas podżenja samogonn, nie jeden był jak

jak to mówię, pod chumorem, tym stórzę byli powodem alarmu

napili im jak ^{użyto} młóci kowi co iż tylko dale, wtenczas odeszli
każdy na swoje, stórnó wisko,

Natomiast ludności ukraińskiej zamieszkała w tej wsi powiadomiona
przez swoje posterunki alarmowe, że masowy idą ich narać
na co wywołano tam dużą panikę, zostawiając w wystrachu w domach
co przygotowane i upieczone na święta sobie, uciekło
w większość w pobliskie bary, jak sami później nam opowiadali
to kobiety i dzieci były chęć w barach siedzieć, tylko mężczyźni
zdrowi i młodzi pozostali, którzy im w dzień od czasu
do czasu tylko i wnośić dostarczali. Było to dla nas a wianem
dla tych którzy mieli kłóki na krancach wsi polskiej niejako
rewanżem. Co międzysię podniosło na duchu i nie może
~~niektórzy nie mówiący~~ Było to czasem w takich ciężkich czasach
~~bandy zbrodniarzy, jakichś~~ niejako podprężenie niebezpieczeństwa
~~niektórzy nie mówiący~~ nie mówiący.

W roku 1944 po przyjeździe fur wojsk radzieckich do nas
gdy stosunki między ludnością polską fur nie były tak napięte
kierow. w roz mowie, gdy spotykają się z kilkoma gospodarzami
ukraińskimi, naprowadziłem rozmowę na polowę wyprzed
z roku 1943 Wielkiej wojny w danej wsi, Zasmiechali się tam
z siebie, Ale za wytworzone napięcie między nimi a nami
łatwo więc skłócać na swoje inteligencji ukraińskiej
i najwięcej na swoich adwokatów i popadliw

Świdnica 20 III 1963

Wyrasam z gody, ale z zaskoczeniem że cały mój majątek, pełnię swaty
w podwórku, jest nieśmiertelny 3 męczył i trud łoboty, za najmniejszym
podziękowaniem mając mi doci, znowi, godzą się na wystrasz błądów
sadowości, Sięć się ukraińskie odnośnie zapewni ich mogą być spokojni
i spaci spokojnie, Po uładowaniu wojów w budynkach gospodarczych i kom
gdyż na wozach mieli się do samicy, na strome, Zapraszam ich do mi
Młodzi ociegnę się odnawiają matymiasz stary głosem doci, pod
pauzale do nich jakie z was durne cępy, jeżeli ten pan, nas pnieście
jmez niebezpieczeństwo jasde noc noc, i doci nam nocley, to wy się jes
duwali bawcie, ja idę a wy marzycie sobie cały noc i na dwo

Po ugonnieniu ich kobiety, no i trochę samogonem, a później
 tytoniem do fajek, język ich się rozwirosił, cunio się ich w domach
 u kobiet widać było wreszcie. Tytoni dlatego planu, spoglądając na
 ptaszki traci goję, Stary Bojdo mówi do mnie ja znowu pane
 Prochu, Bo to wyszło mnio wana ukraińska inteligencja
 wane adwokaty, no i Popadie, bo im ich maryta samotniejsza
 czyż nam ile było dawniej razem iestny z polakami bawili się
 pili, iemili się między sobą, całą wojnę miastowe razem odbyli.
 Popadki było mniej, uszas międrych, a ale dużo międrych i mił to
 mienych i do czego dobie, ie erowien, erowienke się boi, i niewu
 mu, A kobiety ptasz bo się nie spodniwały jini do domu wrocie i
 ich tu spotka jakis nieuczciwie, A wygranie przestęgi
 przyjele ma nocey no i dali jencu josi, bo oni panie jini dwa
 dni nie w ustach nie mieli, jak by to dobre było na sińcie ale by i
 erowienke erowienkowi nie był wielkiem, Po dłuższej na ten temat rozmowie,
 starościnie pytam co myślisz robić z ty tole, są bezradni, przypominają im różne posm
 mabyriów wewni na tole, dążują się bardzo zadowoleni, dłużej wroc gajch
 i ichniemu spoi, Daję wrai do woi przecigga paru godzin wyszła promienisk
 są po prostu uszczęśliwieni dobrego zachowania.

Signajac iz i gotyco dykujac za okaranz i pomoc
re gta p mivocach odjickajz, do swych domow

7-11

26-1964

1 VII

2501 - Bogki - 1945

Po wkroczeniu Armii Radzieckiej na były teren wschodnie w lipcu 1944 roku nie było jeszcze całkowitego wypierania, na tych terenach, gdzie gradowały jeszcze różne bandy U.S.A. przeważały się na zachód, Po minie tego że było to już rok 1945 kurczono, pozostała niepełna i duża mieszanina między ludnością polską i ukraińską, spowodowała że duża kolonia na wschodnich terenach została rozgromiona i ludność polską pomordowaną. Dlatego te niepewności i nieufności trwała nadal. Ale mimo wszystko kto pozostał przy życiu, trzeba było jakoś żyć, Brak było wystarczającego chleba, no wojnie, Więc ludność zmuszona była wyjechać po coś obcych miejsc zamiarkami, a żeby coś kupić czy też zamienić towar ten który był komuś niezdolnie do życia potrzebny, Jest niedługo kuciem wieczorem, miodziwizna, a nieparowoz. Na dworze doświadczenie, Konieczność obrotu kółto naszego inwentarza żywego. Na gościniec z podwórza dawno nie spotykamy mym oczom widok. Przyglądam się bliżej wychodząc na gościniec ale tak, po naję po skrócie. Bogki, to enawy, ludności ukraińska z okolic Bolesława - Skole. Jedzie przy furmanki, zatrzymuje pierwszą furmankę, pytam dlaczego tak późno jada, dlaczego na noc nie poszła sobie, gdzieś nochną wreszcie tłumaczy im że jada na noc jest jeszcze niebezpieczna bo gradowały bandy, odrzuciła konie no może być ale nawet i enimi.

Dwóch młodych chłopców jakichś dali - natomiast jeden starszy który jak później opowiadał że cała wojna i na światową silię z Polakami w jednym pułku, a panujący był w niewoli Włoskiej i Armii Główna w Francji. Pojechała do nich ja dalej niejadła i temu estońskowi wiewoś swo słowa a wy jak sobie chcecie to jedcie, popierał go trzy kobiety które tam z nim były. A żeby moje słowa były dla nich warty gdzieś mówię do nich. Naprawdę tu mieszka ukraińskie, idziecie, do niego jest w domu, i pytacie się sami, jak się sytuacja przedstawia, a intencja ich dozwiedzieć może nawet lepiej jak odczucie. Po wstąpieniu posuli. Za chwilę przychodzi do mojej spowrotem, na twarzach i widzę po prostu jaskry przeoczenie. Pytam co robisz czy jadaś dalej, stanowczo nie ale co oni chcą robić, gościniec za waga a żeby nawrócić spowrotem rowy głębie, sąsiad ich nocował niekiedy, bo się boi, to jedno po drugie tłumaczy się że nie ma gdzie, co mają robić. Tęskni sami nie wiedzą, Proszą a żeby pozwolili im na podwórzu wozu, nawrócić to jada, spowrotem, Nadmuchi na to sąsiad ukraiński mówi do nich że najbezpieczniej, i najlepiej będzie ilekć ich jeżeli ja ich u siebie zatrzymam i przemocuję. Przyglądam się im mnie z pod oka niepewnie, tam nie wiem co robić, wy dłużej zajął na zamyślenie, czy też nie, a może się coś stać w nocy a później cała to odpowiedziałam i sprowadziła na mnie, i rodzinę, i na ludność polską.



Władysław Polak
autor wspomnień
(brat Edwarda Polaka)



Józefa Polak
żona Władysława Polaka



Moja rodzina : Władysława i Władysław Bojarscy z dziećmi:
Paweł, Teresa, Maria, Maksymilian, Damian i Faustyna
(zapisek pod fotografią)



Rodzina Władysława i Józefy Polak w Osieku.
Elżbieta, Julian, Bolesław, Maria, Czesław, Władysława, Stanisława, obok rodziców
dzieci, które przyszły na świat już w Osieku : Leontyna i Edward.

Osiek 1953 rok

LISTY, WSPOMNIENIA I ZDJĘCIA

List od pana Kosarewicza

Otrzymałem list od pana Mikołaja Kosarewicza, prawnuka Mikołaja Kosarewicza mieszkającego na Łukowcu Wiśniowskim przy ulicy Holeszowskiej. Pan Kosarewicz pisze, że najbliższymi ich sąsiadami były rodziny: Walentego Kobylarza, Sutyłów i Rogowskich. Oprócz domu w skład gospodarstwa wchodziły jeszcze; stajnia, stodoła, ziemianka i chlewik oraz znajdujące się w głębi posesji sad i przydomowa pasieka. Wyjaśniła się też sprawa kuzyna pana Tadeusza Kosarewicza, który jest znanym scenarzystą filmowym, m. innymi robił scenografie do takich filmów jak „Zemsta” „Mała Moskwa” „Sami Swoi” „Jancio Wodnik” „Obcy musi fruwać” „Polska śmierć” i wielu innych. Z rodziny Kosarewiczów Michał należał do AK, a inni jej członkowie współpracowali z Samoobroną. Często gośćmi w ich dom byli Piorun i Smockiewicz oraz Władysław Lustig, żołnierz AK pochodzący z Żurawna. Po wkroczeniu wojsk rosyjskich Władysław Lustig został aresztowany i wywieziony do miejscowości Szachty w Kazachstanie - gdzie był więziony i bity. Powodem była przynależność do AK. Po powrocie z Rosji Władysław Lustig ożenił się u Kosarewiczów. Pioruna wspomina rodzina Kosarewiczów jako bezwzględnego dowódcę i Patriotę. Smockiewicza natomiast wspomina źle. W Samoobronie nieco się angażował, ale jego postawa była dwuznaczna. Więcej nie chcę na temat tego listu pisać z racji zastrzeżenia, że rodzina nie życzy sobie ujawnienia całej jego treści. Muszę więc uszanować ich wolę.

Pani Zofia Żołna z domu Starkiewicz

W 2010 r. spotkałem się z Zosią Żołną, moją kuzynką i zapytałem o Łukowiec. W odpowiedzi usłyszałem, że jej rodzina na

Łukowcu mieszkała do 1934 roku, a później przeniosła się do wsi Zapust Lwowski gmina Narajów, powiat Brzeżany. Ojciec kupił tam parcelę i karczował las. Gdy sytuacja z powodu napadów ukraińskich stała się tragiczna, postanowili z powrotem uciec na Łukowiec do domu siostry mamy - Katarzyny Majdańskiej. Zapytałem, jak wyglądała ta przeprowadzka, - na co odpowiedziała mi Zosia: „Twój dziadek i Kruk Jan jego szwagier - przyjechali po nas w marcu 1944 roku dwoma saniami (jechali w dzień - gdyż uważali, że tak będzie bezpieczniej). W nocy, zapakowaliśmy, co się dało na te sanie i na drugi dzień ruszyliśmy na Łukowiec. Do Łukowca było od nas ze trzydzieści kilometrów. Zakwaterowaliśmy się u Majdańskich, którzy nieco wcześniej wyjechali w rzeszowskie. Do tego domu już wprowadziły się dwie rodziny tak, że spaliliśmy jak te przysłowiowe śledzie. Z naszej wsi Zapust Lwowski na Łukowiec przyjechała jeszcze jedna rodzina o nazwisku Kalinka. Też mieli krewnych na Łukowcu. Stanisława Kalinka miała czworo małych dzieci, postanowiła z siostrą, że pojadą jeszcze raz do wsi Zapust po resztę rzeczy i obie w drodze powrotnej zginęły bez śladu. Gdzie je zamordowano, niewiadomo? Dzieci wychowywały się u dziadków, podobno mieszkają w okolicach Środy Śląskiej. Łukowiec był tylko naszym przystankiem. Po pewnym czasie i my wyjechaliśmy w rzeszowskie. Majdańscy osiedlili się w Raniżowie, a my we wsi Niebylec koło Rzeszowa, a później przenieśliśmy się też do Raniżowa. Warunki egzystencji były bardzo trudne. Gdy rodzice dowiedzieli się o wysiedlaniu Niemców z okolic Bydgoszczy, postanowiliśmy tam się osiedlić i tam też znaleźli swoje miejsce. Tak nasza rodzina znalazła się we wsi Zielonka, koło Bydgoszczy. Ja odwiedziłam babcię na Wałach Śląskich i poznałam tam mojego męża. Na Wałach Śląskich wyszłam za mąż i zamieszkałam. Wychowaliśmy z mężem czworo dzieci. Obecnie znów powróciłam w swoje strony w okolice Bydgoszczy.

Zosia Żoła poinformowała mnie również o fakcie, iż pani Kalinka przysłała do mojego dziadka Karola Burdzego z prośbą, aby pojechał jeszcze raz do wsi Zapust Lwowski po resztę pozostawionych tam rzeczy. Dziadek się nie zgodził - podobno pani Stanisława prawie się na dziadka pogniwała, choć powiedział jej: „Konia i wóz dam, ale już tam nie pojadę. Ryzyko jest za duże!”

Pan Józef Gajewski

Pan Józef pochodził z Bóbrki, kiedy rodzinę, składającą się z rodziców i dwanaścioro dzieci, postanowiono wywieźć na Sybir, panu Józefowi udało się uciec. Wyczerpany dotarł na Łukowiec, gdzie miał rodzinę – Januszów. Ulokowano go u Mrozińskich, gdzie przez miesiąc dochodził do zdrowia.. Rodzina Mrozińskich była bez ojca, zginął w walkach we wrześniu 1939 roku. Pan Józef po wojnie ożenił się z panią Mrozińską i z łukowianami przyjechał na Wały Śląskie. Zaczął też szukać swojej rodziny przez Czerwony Krzyż. Odnalazł się brat w Rosji, w Moskwie. Od niego dowiedział się, że ojciec przebywa w Lublinie. Pojechał tam i dowiedział się gdzie przebywają pozostali członkowie rodziny. Na Syberii zmarło dwoje dzieci, reszcie udało się przetrwać. Jeden z Gajewskich walczył w Armii Andersa. Inny ożenił się i zamieszkał w Moskwie. Jego syn Sasza prowadził ze swoją polską rodziną korespondencję, pomimo dużej niechęci ze strony radzieckiej administracji. Informację tę uzyskałem od syna pana Józefa – Antoniego, obecnie mieszkańca Wołowa na Dolnym Śląsku. Mama Antoniego Gajewskiego (Tośka) zmarła w 2011 roku w wieku 100 lat. Na marginesie chciałbym jeszcze dodać, że Tosiek (Antoni Gajewski) był w 1961 r. wicemistrzem Polski w żeglarstwie, w klasie 505, jako załogant, a także mistrzem Dolnego Śląska, jako sternik, w klasie Cadet. W Wołowie pełnił funkcję przewodniczącego i sekretarza gromadzkiej Rady. Na Wałach Śląskich rodzina Gajewskich przez wiele lat mieszkali obok nas. Byli bardzo dobrymi sąsiadami.

Pan Paweł Twardochleb

Państwo Twardochlebowie pochodzili ze wsi Głębocek koło Zaleszczyk, pow. Barszczów, woj. tarnopolskie. Pan Paweł nie zna przyczyn wywózki rodziny na Sybir. Ojciec był rolnikiem i nie miał więcej ziemi niż inni gospodarze. Na

Syberii wylądowali w okolicach Nowosybirska. Starszy brat pana Pawła -Jerzy wyszedł z armią gen. Andersa i walczył pod Monte Casino, gdzie był dwukrotnie ranny. Na stałe osiadł po wojnie w Anglii. Ojciec pana Pawła zginął pod Lenino. Pani Twardochlebowa z jedynastoletnim synem Pawłem dostała przydział domu właśnie na Wałach, naprzeciw naszej posesji. Dom był ładny. Choć łukowianie zajmowali już znaczną część wsi to, jednak w wielu domach byli jeszcze Niemcy, co oznaczało, że są jeszcze wolne gospodarstwa. Kiedy Twardochlebowie doszli do przydzielonego im domu, byli w kiepskiej odzieży, zmęczeni, głodni, i zaniepokojeni jak wspomina pan Paweł Twardochleb. Na podwórzu naprzeciwko ich domu kręciła się jakaś starsza kobieta. Wyszła z dużym czterokilogramowym bochenkiem chleba w kształcie prostokątnej brytfanki i podeszła do nas mówiąc: „Może jesteście głodni” i ukroiła połowę tego chleba – pachnącego świeżego. „Ja tego chleba Franciszku nie zapomnę do śmierci” – mówił pan Paweł. Tą osobą była twoja babcia Burdzowa. A gdy zacząłem pracować na budowie elektrowni wodnej Wały Śląskie, wysłałem do Warszawy swoje dane z nadzieją dostania się na kurs na maszynistę przewozu materiałów niebezpiecznych. Gdy przyszło powiadomienie, że na kurs zostałem zakwalifikowany, nie mogłem w to uwierzyć. Myślałem - ja do Warszawy?! – To przechodziło moje oczekiwania. Postanowiłem zrezygnować. Któregoś dnia poprosił mnie twój dziadek - Antoni Faszynkieder, który był na budowie płatowcem. Powiedział: „Paweł jedź na ten kurs. Jak go nie zdasz, nikt do ciebie pretensji mieć nie będzie, a jak go zdasz to będziesz miał fach na całe życie?! Pod wpływem tej perswazji zmieniłem zdanie. Za 7 miesięcy przyjechałem z Warszawy z uprawnieniami „Maszynisty do transportu materiałów niebezpiecznych”. Praca w Zakładzie „Rokita” w Brzegu Dolnym już na mnie czekała!

Pan Jędrzej Wojnas

Panu Jędrzejowi należą się słowa podziękowań za umieszczenie w Internecie na portalu „Wały” Zeszytów łukowieckich od numerów 1 do nr. 14. Chociaż rodzina pana Jędrzeja nie pochodzi z Łukowca, to jednak jest on zainteresowany rodowodem ludzi, wśród których od lat zamieszkuje. Dzięki jego pracy, dostęp do Zeszytów osób zainte-

resowanych jest praktycznie nieograniczony. Z panem Jędrzejem będę chciał jeszcze rozmawiać i prosić go, aby w Zeszytach Nr 6-8 umieścił kopie oryginału drugiego pamiętnika, a nie tylko jego przepisana przeze mnie treść, gdyż ten pamiętnik ma wartość historyczną

Pan Tadeusz Schmidt

Pan Tadeusz zadzwonił do mnie z Głuchołaz. Jego rodzina pochodzi z Łukowca, mieszkali na Bakocynie. Ich sąsiadami byli Przyłuccy, Ukrainiec – Martyn, Kwietnie, Giermugi, Chłopowce i Rytwińscy. Pan Tadeusz mówi, że w ich domu mieszkało trzech partyzantów. Domownicy znali ich tylko po imionach; Heniek, Romek i kulawy Zbyszek. Rodzina pana Schmidta wyjechała z Łukowca nie tak jak większość mieszkańców przez stację Chodorów lecz z Kochawiny. Pan Tadeusz pamięta, że jak wyjeżdżał z Łukowca było też kilka rodzin m.in. Rytwińscy i Przyłuccy. Innych rodzin nie pamięta. Pan Schmidt mówi, że nosi nazwisko matki, z tego, co zrozumiałem, po ojcu powinien nazywać się Chłopowiec. W okresie ciąży coś tam się stało. (Jeżeli coś pomieszałem to bardzo przepraszam). Pan Tadeusz mówił też, że ciało Kwietnia, który zginął podczas przeprawy przez Dniestr – przyniesiono na ich podwórze. Dodał jeszcze, że jeden z Chłopowców był bardzo dobrym rzeźbiarzem i dwie jego prace znajdują się we Wrocławiu w obiektach sakralnych. (Bardzo interesującą informacją dla mnie są imiona tych trzech partyzantów – to jeszcze jedno potwierdzenie, zakwaterowania się na Łukowcu dużej grupy partyzanckiej.

Jan Koch

Otrzymałem też telefon od pana Jana Kocha z Wrocławia - jego rodzina pochodzi z kieleckiego. Mówi, że jest zainteresowany Łukowcem, gdyż jego teść dużo opowiadał o tym, co tam się działo (nazwisko teścia Sudół). Pamięta, jak teść mówił, że był na Łukowcu taki oficer, który gdy przychodził na kontrolę posterunków, to chłopakom nogi

drżały. Odpowiedziałem mu, że tym oficerem był „Piorun”- Zastępca komendanta bazy i że jego prawdziwe nazwisko brzmi - Piotr Król.

Marzena

Krycińska-Marchewka

Zadzwoniła do mnie studentka z Warszawy – córka pułkownika Krycińskiego – pisze prace na temat swojej rodziny i mówi, że te materiały to dla niej skarb. Pani Marzena chce jak najwięcej wiedzieć o swojej rodzinie i pisze, że znalazła na statkach wyjeżdżających do USA na emigrację kilka razy nazwisko Kryciński. Są nazwy statków, jakimi wyjeżdżali – pisze, że wszyscy ci Krycińscy pochodzili z Łukowca.

Przekazałem pani Marzenie, iż najwięcej o jej rodzinie może jeszcze powiedzieć pan Jan Kryciński z Zabłota i pani Janina Maciąg też z Zabłota, gmina Kostomłoty pow. Środa Śląska.

Edward Szot z Brunowa

Wspomina: – Naszą kuzynkę Emilkę Szot zgwałcili Azarabajdzanie - był to gwałt zbiorowy – dziewczyna dostała pomieszenia zmysłów. Po wojnie jakiś czas przebywała w Lipnicy (wieś pomiędzy Brzegiem Dolnym a Środą Śląską), a później była leczona w Lubinie. Niestety zmarła nie odzyskawszy równowagi psychicznej. Pan Edward dodaje; gdy Polacy dowiedzieli się o koncentracji oddziałów UPA nieopodal Łukowca, do Chodorowa pojechał sołtys Bal. Czy on tam przekupił jakiegoś generała nie wiem, ale tak mówiono – w każdym bądź razie na drugi dzień zjechał do Łukowca duży oddział Azarabajdzan pod dowództwem niemieckim na wypoczynek – to dało nam dodatkową ochronę? Oficjalnie chodziło o ochronę mostów i linii kolejowej. Dla ludności naszej wsi było to i dobre i złe. Ludzie oprócz gwarancji bezpieczeństwa korzystali też z zaprowiantowania Azerów. Na moje pytanie, czy wie, kto podczas pędzenia bimbru na Łukowcu zginął (było kilka takich śmiertelnych wypadków) odpowiedział: Tego to nie pamiętam, ale pamiętam, że gdy

Ruscy przyszli, próbowali naszych brać do wojska. Młodzież na ogół nie chciała opuszczać wsi. Dwaj chłopcy usłyszeli, że jak napiją się wywaru z tytoniu, to dostaną na płucach plamy i do wojska nie pójdą. Zrobili tak i obaj zmarli po wypiciu tego wywaru. Jednym był brat Aleksandra Kozła – Jaś, a drugim przybysz na Łukowiec chyba nazwisko Krzywonos- mieszkał on u Halickich. Pan Edward podał mi dwa nazwiska ludzi, którzy zginęli na Łukowcu już po wkroczeniu Armii Czerwonej. Miał to być jakiś rewanż za kradzież krów we wsi ukraińskiej, o co obwiniano Polaków. Pisałem o tym i wspominałem, że zginęło wtedy 14 osób a jednym z nich był pan Wróbel. Pan Szot dodaje, że zginęło wtedy dwie osoby z rodziny Lepionków w tym osoba dorosła i dziecko, i jedna osoba z rodziny Płaskonka. Żona pana Szota pochodzi z rodziny Cebulów mówi: W 1951 roku u brata mojego Franciszka Cebuli, mieszkającego w Lipnicy, znaleziono ulotki, on należał do organizacji Orła Białego. Zawieźli go do Wrocławia na ul. Klęzkowską i tam torturowali. Był polewany wodą wisiał głową w dół, szczury podgryzały mu palce. Gdy zwariował wywieźli go do Gorzowa Wielkopolskiego do zakładu psychiatrycznego – gdzie zmarł.

Były różne sytuacje:

Rozmawiałem ostatnio z moim kuzynem Władysławem Majdańskim z Bydgoszczy – powiedział cytując: „Byli też Ukraińcy bardzo porządni ludzie” – Tego ja nie neguję – tylko, że w polskich środowiskach dominował strach, przerażenie przed śmiercią i okrutnymi metodami jej zadawania.

Władysław Maślanka mówi, że przed wojną jego ojca siostra - wyszła za Ukraińca dwie wsie od ich wioski. Po wojnie ojciec posyłał jej paczki. Więc nic jej nie zrobili.

Także rodzina Szulców mieszkająca obok Łukowca we wsi ukraińskiej Kozara (Kozary) – wychowywana była w duchu polskim, choć żona Szulca była Ukrainką. W latach wojny tylko on chronił się na Łukowcu – reszta rodziny mieszkała w Kozarach bezpiecznie. Najstarszy syn – sze-

snastoletni Paweł wyznaczony został na roboty do Niemiec i wyjechał. Po wojnie pracował we Francji, gdzie żyje do dziś. Po wojnie rodzina Szulców wraz z Łukowianami wyjechała na zachód – Tylko najstarsza córka, która wyszła za Ukraińca została w Kozarach. Najmłodszy syn Władysława Szulca – też Władysław mówi: „Wychodzi na to, że Ukraińcy chcieli się rozprawić tylko z naszym ojcem - już po przejściu Armii Czerwonej, przyjechały do nas z Łukowca cztery furmanki i zabrały naszą rodzinę wraz z dobytkiem. Na Łukowcu mieszkaliśmy u rodziny Miszczaków”. Nie chcę pisać, że sytuacje, w których Polacy przeżyli wśród Ukraińców były tylko wyjątkowe, – bo tego do końca nie wiem. Wiem, że Polacy bali się Ukraińców, gdyż nienawiść do Łachów była powszechna. Na marginesie chcę jeszcze dodać, że aktualny wiceminister zdrowia Jakub Szulc – pochodzi z tej właśnie rodziny i najprawdopodobniej nawet o tym nie wie.

Była kiedyś dyskusja w telewizji na temat UPA, Ukraińcy przyrównywali swoją organizację do naszego AK – twierdząc, że w UPA byli też Polacy

Mój ojciec skomentował to tak: Wyjątkowo mogły być sytuacje, że w UPA w wyniku jakichś zawiłości losu znalazł się i Polak, ale to były sytuacje całkowicie wyjątkowe.

Pan Jan Kryciński, wspominając czasy wojny, wspominał też rodzinę Łukowiecką - polską - współpracującą z AK i Samoobroną. Ich ojca brat mieszkał na ukraińskiej wsi i gdy Ukraińcy zaczęli mordować, on poczuł się Ukraińcem i jak to powiedział pan Jan – był bardzo aktywny i antypolski. Można oczywiście zrozumieć człowieka mieszkającego wśród Ukraińców, że poczuł się Ukraińcem, to jest normalne, z jakim przystajesz takim się stajesz – Mordowania jednak i tej straszliwej nienawiści – nie można do końca zrozumieć.

Aleksander Kozioł

Pan Aleksander przechowywał w swoim domu Żydówkę i jej córkę. Po wojnie bardzo szybko opuścił Łukowiec- powodem był fakt, że zakochał się w Żydówce. Mąż tej Żydówki przeżył wojnę będąc żołnierzem

armii radzieckiej. Jak potoczyły się powojenne losy tych ludzi, niestety dokładnie nie wiem, choć słyszałem, że ta Żydówka powróciła do męża?

Kopia obrazu Matki Boskiej Kochawińskiej

Byłem ostatnio w Osieku koło Kostomłot na pogrzebie kuzynki Józefy Miśkiewicz i modliłem się w tamtejszym kościele przed kopią obrazu Matki Boskiej Kochawińskiej. Kopia obrazu została wykonana przez panią Polak – Burzę – jest bardzo ładna. W kościele jest też sztandar z wizerunkiem Matki Boskiej Kochawińskiej wykonany na zamówienie parafian przez siostry zakonne z Poznania.

Szpulka nici

W 1942 roku jeden z Żydów z Żurawna przyjechał na Łukowiec Wiśniowski, aby zaopatrzyć się w żywność. Był on krawcem, przywiózł trochę ciuchów i jakieś pieniądze. Znajdował się w sytuacji, w jakiej byli wszyscy Żydzi na podbitych przez Niemców terenach – po prostu walczył o przetrwanie. Żyd pragnął; płaszcze palta i spodnie przehandlować za jedzenie. Kiedy pozamieniał już ciuchy i jego worek zrobił się pełen od jęczmienia ziemniaków, serów i wszystkiego tego, co zdobył, stanął nagle przed dziwną sytuacją – jak to do Żurawna zawieźć? – Wór ważył z 60 -70 kg – zanieść tego nie był w stanie – pieniądze wszystkie wydał, – więc co robić. Zaczął chodzić od chaty do chaty i prosić gospodarzy o zawiezenie mu worka z żywnością do domu, do Żurawna. Twierdził, że w domu ma pieniądze i dobrze zapłaci za przysługę. Po kilku odmowach zrozumiał, że znalazł się w pułapce. Nikt nie chciał się dla niego narażać. Pomaganie Żydom było zakazane – zawsze mogło skończyć się tragicznie, wystarczyło tylko, żeby zaczęła ich policja ukraińska czy gestapo. Żydzi żyli z dnia na dzień. Mieli z pewnością jakąś nadzieję, ale ... Wszędzie groziła im śmierć. Polacy byli w lepszej sytuacji jednak i oni byli narażeni na rewizje, kaprysy ukra-

ińskiej policji i Niemców. Poruszanie się swobodnie było utrudnione. Za byle, co groziły baty, wywózka na roboty, czy do obozu, czasem strzał w głowę kończył nieporozumienia. W tej sytuacji Żyd kilka godzin zmarnował na chodzenie i proszenie rolników o podwiezienie go do Żurawna. Mowy nie było, wszyscy mu odmawiali. Stał tak bezradny na drodze i widział jak ludzie zaglądają do okien i spoglądają na niego z politowaniem. Dziadek też już wiedział, że Żyd w końcu część worka z żywnością gdzieś zostawi a z drugą częścią wieczorem wymaszeruje do Żurawna. Taż to 8 km – myślał. Żyd był już u niego, prosił o podwiezienie, odmówił - jak wszyscy. Gdy, Żyd podał cenę za podwiezienie, nawet się zdziwił: „pieniądze za życie, już lepiej niech pan idzie, tak jak pan przyszedł”. Dyskusji nie było. Patrzył jednak, co chwilę swoim jednym okiem na stojącego na drodze strapionego Żyda. „Człowiek jak każdy inny, aż żal bierze” – powtarzał półgłosem – „Przylazło to to z worem szmat i odejść nie może”. Był tym wszystkim przejęty, tym bardziej, że sam wymienił proso za zgrabne palto. Chodził po domu... w pewnej chwili otworzył szafę i popatrzył na palto, zamknął szafę i wyszedł na drogę. Zauważył stojącego Żyda niedaleko od swojego domu, był całkowicie załamany. Wrócił do domu i rzekł do żony: „Zawieze go do tego Żurawna, co się ma stać, to się stanie”. Żona milczała – wiedziała, że na decyzję męża wpływu już nie może mieć. Wyszeptała tylko – „la Boga – la Boga”.

Dziadek Karol wyszedł przed dom i zawołał do Żyda, „Choć pan tu z tym worem”. Potem nie czekając podszedł do niego i w dwójkę przenieśli wór na podwórzec. - Spokojnie rzekł – „zawiozę panu ten wór do domu”. Żyd był szczęśliwy, podwójnie zapłacę i będę wdzięczny” - odrzekł cicho. Dziadek zaprzęgnął konia do wozu. Wrzucili wór za siedzenie i obaj wsiedli na wóz i wio do Żurawna. Dziadek był zdenerwowany, jednak gdy w końcu koła wozu zaterkotały o bruk żurawickich uliczek czuł, że nadzieja mu wraca. Jeszcze jedna ulica a potem w prawo i kamienica, w której Żyd

mieszka. – „Pan chwileczkę poczeka... ja pobiegnę po pieniądze i się rozliczymy” – mówił Żyd uszczęśliwiony. Dziadek dojechał pod wskazany adres, zdjęli z wozu worek i zanieśli go na korytarz domu. Żyd był rozpromieniony. Dziadek wyszedł i bacznie śledził ulicę. Na jej końcu 300-400 metrów od niego stali dwaj ukraińscy policjanci. Swym jednym okiem widział ich patrzących w jego stronę. Nie próbował robić żadnych gwałtownych ruchów. Nawracał wóz w stronę Łukowca i zobaczył, że jeden z policjantów macha na niego ręką, aby się zatrzymał. Szybko wskoczył na wóz. Żyd nie widział Ukraińców zdezorientowany faktem, że dziadek odjeżdża bez zapłaty podbiegł do niego mówiąc, żeby chwilę zaczekał a widząc, że to nie skutkuje a wóz nabiera szybkości włożył rękę do kieszeni swojej marynarki i szybkim ruchem wepchnął coś do kieszeni dziadka. Koń biegł coraz szybciej w końcu zaczął galop, dziadek uciekał. Spojrzał do tyłu i widział, że Ukrainiec zdejmuje karabin z ramienia. Skulił się i pochylił do przodu i walił konia batem po nogach. Jeszcze 30- 40 metrów i ostry zakręt w lewo, koń bardzo szybko połykał odległość, na zakręcie zauważył sypiący się tynk ze ściany, to strzelał policjant ukraiński, za chwilę był już za zakrętem. Wstał i znowu parę razy ciął konia po nogach. Jak tu dobiegną – pomyślał - ja już będę za drugim i trzecim zakrętem?.. Za niewiele ponad pół godziny był na swoim podwórzu w Łukowcu. Szybko rozprzęgął konia, wprowadził do stajni, uspokoił - wyczyścił z piany i spokojnie wszedł do domu. Rozebrał się i poprosił żonę o coś do picia, a gdy ta podała mu czarna kawę przypomniał sobie o zapłacie. Włożył rękę do kieszeni i wyciągnął z niej szpulkę nici.

Dziadek opowiedział mi tę historię kilka razy i zawsze był nią wzruszony, mówił: „W tym pośpiechu Żyd wsadził rękę do kieszeni i co tam miał to mi dał” - rozumiałem to, że dziadek wiedział, że Żyd z tą szpulką nici dał mu swoje serce.

Rodzina Maślanków

Konstanty Maślanka zamieszkiwał w województwie tarnopolskim, w powiecie Trembowla, wieś Łozówka - kolonia Iwanówka. Zakwalifikowany do kułaków, w lutym 1940 roku wraz z kilkoma jeszcze rodzinami został wywieziony na Sybir. Maślanka miał 25 mórg pola, radził sobie nieźle, dodatkowo co roku sprzedawał 2-3 konie pociągowe wojsku – pułkowi kawalerii jazłowieckiej, którego dowództwo było w Trembowli. Miał tam jakieś kontakty, tak że co roku 2-3 konie były od niego odbierane, a otrzymywane pieniądze, po 500-600 złotych za sztukę, szły na potrzeby gospodarstwa, które, jak na warunki przedwojenne, nie było małe. Słowem. Zakwalifikowanie go jako kułaka miało swoje radzieckie uzasadnienie.

W domu u Maślanków sytuacja była dość skomplikowana. Po pierwszej żonie miał Konstanty troje dorastających dzieci, a z drugiego małżeństwa miał córkę. Macocha źle traktowała dzieci z pierwszego małżeństwa, co było powodem niezadowolenia dorastających synów i córki. Uważali, że ojciec traktuje ich jak parobków. Poza tym nie dotrzymywał słowa. Nawet gdy sprzedawał konie wojsku, zamiast obiecanych po 50 zł za konia, otrzymywali po 10, czasem po 15 złotych. To ich tylko irytowało i pogłębiało nienajlepszą atmosferę w domu. Uważali się nie za gospodarskie dzieci lecz za parobków. Druga żona zamiast tonować nieporozumienia, jeszcze tylko, jak to się mówi, stawiała sprawy na ostrzu noża, skarżyła na pasierbów. W konsekwencji zdarzało się, że jak chłopcy chcieli w sobotę czy w niedzielę iść na potańcówkę z kolegami kradli ojcu worek owsa i zanosili do Żyda, żeby tylko parę groszy mieć na alkohol. Wywóz na Sybir nastąpił w lutym 1940 r. Na szczęście brata i siostry nie było w domu. Zabrali więc Konstantego jego syna Jana i drugą żonę wraz z jej córką. Mogli wziąć 100 kg rzeczy więc ojciec wziął 2 worki pszenicy trochę jedzenia i trochę ciuchów. Wywieziono ich na stację do Trembowli, a stamtąd na Sybir

do pracy. Już podczas podróży zdarzały się zgony ludzi słabszych, starych i chorych. Wyrzucano wtedy ich ciała z pociągu nie martwiąc się, co z nimi się stanie. I tu już okazało się że Konstanty Maślanka miał rację zabierając pszenicę. Gdyż podróż trwała blisko dwa miesiące, a ludziom zaczynało brakować żywności. Radzieckie władze ograniczyły się tylko do dostarczania skazańcom raz lub dwa razy dziennie wrzątku na ich potrzeby zwanego „kipiatokiem” i nic poza tym. Dwa kamienie, które Maślanka przyniósł podczas jakiegoś postoju do rozbijania ziarna spełniły w pewnym stopniu swoje zadanie. Po prostu rozgniecione ziarna pszenicy zalewali wrzątkiem i dzielili się tym we czwórkę. Po wyładowaniu w Syftykarze wszystkich zapędzono do bani, celem odwszenia. Ojciec podczas obowiązkowego mycia się i przejścia do baraków na 40 - 50 stopniowym mrozie zaziębił się i zachorował. Zapalenie płuc, brak lekarstw, brak żywności i praca nie zwracających na jego stan zdrowia dozorców zrobiły swoje. Po blisko miesięcznej walce z chorobą ojciec zmarł. Była to tragedia dla żony i córki – jednak nie dla syna Jana, któremu, ze względu na stale konflikty z ojcem, jego śmierć była prawie obojętna. Zaczął pracować w tartaku przy spławie drzewa. Praca ta była i ciężka i wymagająca. Pewnych umiejętności uczył się Maślanka dość szybko. Najbardziej jednak przerażało go to, że nie umie pływać. A niestety, dość często pracując przy spławie ludzie wpadali w różnych sytuacjach do wody. Maślanka w ciągu kilkumiesięcznej pracy w tartaku topił się chyba z 6 razy. Za każdym razem jednak, pomimo braku umiejętności pływania, udawało mu się wyleźć z wody, czy uchwycić czegoś i uratować sobie życie. – Sierpień 1941 roku wybucha wojna niemiecko – rosyjska. Porozumienie Majski – Sikorski umożliwia Polakom, którzy mieli status innostranców zmianę miejsca pracy bez sankcji karnych. Przydzielono ich do kołchozów i fabryk. Jan Maślanka został przydzielony do pracy w kuźni w okolicach Syftykaru. Był tam wyjątkowy porządek i dyscyplina, której Jan

Maślanka nigdzie w Rosji nie widział. Jak się później okazało ludność kołchozu to byli przesiedleńcy z Łotwy czy Estonii i jemu wydawało się, że to były to w dużym stopniu rodziny niemieckich osadników. Kołchoz był bardzo dobrze urządzony, były w nim siewniki, pługi wieloskibowe, traktory na gąsienicach i sporo dobrego sprzętu rolniczego. Maślankę przydzielono do kuźni. Został mołotobojcem. Choć praca była ciężka przy miechu i przy żelastwie, nigdy nie był głodny. Mieszkał w dobrych warunkach, choć o zmianie miejsca pracy nie mógł nawet marzyć. Jako kułak miał odpokutować swoją winę. Nad takimi jak on czuwał politruk, a jakiegokolwiek kombinacje z jego strony mogłyby się skończyć przekazaniem do Workuty. O Workujcie coś słyszał, ale dopiero po wojnie dowiedział się, że oprócz wydobywania tam węgla, była to dla ludzi kaźnia. Pomimo wybuchu wojny z Niemcami, sytuacja w kołchozie była stabilna i nic nie zapowiadało, że nagle się zmieni. Rosjanie zatrzymali Niemców i w wojnie zaczęło następować przesilenie. Diametralna zmiana w kołchozie nastąpiła z powodu poboru do wojska. Zabrano prawie wszystkich dorosłych, tak że w kołchozie zostało tylko czterech mężczyzn: predsiadatel (politruk) bez ręki i 70 – letni szef kołchozu, no i dwaj Polacy - kułaki. Opowiadając o tej sytuacji, mówił mi Władysław Maślanka syn Jana, ojciec miał zawsze dziwną minę. Traktory i urządzenia po paru miesiącach popsuty się, nie było komu naprawiać sprzętu, więc sprowadzono konie i robota tymi końmi szła dalej. Ojciec siedział w kuźni i cynował garki, paniom-powały się one na potęgę. Tu mruczał czterech chłopów i 200 bab, to był okres pod pewnym względem wyjątkowy w moim życiu – gdy Władysław próbował pytać o szczegóły Jan odpowiadał - „no wiesz .. co ci będę tłumaczył 200 bab było”.

Gdy w 1945 roku pociąg z repatriantami Polakami ruszył do kraju, w pewnym momencie wyładowali się na Ukrainie w okolicy Woroneża. Okazało się, że tor jest zepsuty i dalej nie mogą jechać. Wyszczono ich na kilka dni - na czas naprawy torów. Naprawa, jak się potem okazało, trwała 2 lata. W tym

czasie pracowali w kołchozie. Warunki fatalne – brak żywności – praca źle zorganizowana.

Do Polski przyjechał wiosną 1947r. z macochą i jej córką. Osiedlili się w większym gospodarstwie poniemieckim podzielili dom na dwie części, odгородzili płotem i zaczęli żyć jak przysłowiowy Kargul z Pawakiem.

Pierwsza szklanka

Jan Kolaczek, na Ziemi Zachodnie przyjechał w końcu 1945 roku wraz z matką Katarzyną-Zofią. Ojca - Wiktora zabrali Rosjanie w końcu 1944 roku na Sybir za przynależność do AK. Ojciec pracował w Workucie, w kopalni przy koniach. Po przyjeździe na Zachód mama objęła gospodarstwo rolne w Chrustniku niedaleko Lubina, a Jan pomagał jej w jego prowadzeniu. W 1946 roku miał już 14 lat i pracował jak mógł, mając w pamięci ostatnie słowa, jakie wypowiedział ojciec, gdy się z nim żegnał przed wywózką na Sybir: „Opiekuj się mamą”. Kiedy dowiedział się, że w cukrowni w Lubinie jest melasa nadająca się do robienia bimbru od razu postanowił skorzystać z okazji. Jego łupem były dwie dwustulitrowe beczki, które przyciągnął, jedną na wózku a druga przywiózł mu sąsiad, który podjechał pod cukrownię wozem i któremu pomógł wtoczyć trzy beczki na wóz. Chętnych na melasę było coraz więcej, tak że Janowi zdawało się, że pół powiatu przyjechało po zdobycz. Cukrownia umiejscowiona była niedaleko dworca kolejowego przy torach w kierunku na Legnicę. Jan w ciągu paru tygodni przefiltrował wszystko. Butelkami z bimbrem był zastawiony cały pokój. Bimber wyszedł pięknie miał ponad 90% spirytusu Jan mieszał go pół na pół z wodą i stawiał butelki w pokoju. W okresie tym alkohol był tak samo cenny jak pieniądze, za bimber dostawało się dosłownie wszystko. Rosjanie często za alkoholem zapuszczali się do wsi i płacili dobrze, byle by się napić.

„Było lato, niedziela, do żniw pozostawało

jeszcze jakieś dwa trzy tygodnie.” - wspomina pan Jan. Mama poszła do kościoła na godzinę 12 - tą, ja miałem pilnować domu. Później ja miałem iść do kościoła. Gdy usłyszał warkot silnika na podwórzu i wyszedł przed dom. Zobaczył czterech Rosjan wychodzących z gazika wojskowego. Było trzech oficerów i kierowca. Gdy go ujrzeni, od razu przeszli do rzeczy – „Malczik, a wodka u tibia jest: - Jan zbaraniał - po chwili odrzekł – „nie nie mam wódki” - Jeden z oficerów podszedł do niego, uśmiechnął się i rzekł: „Nie gadaj, my znamy, my chcieli paku-pit!” Jan wiedział, że zapieranie się sensu nie ma. A jak będą chcieli wejść i zobaczą cały arsenał butelek, narobią mi tylko bigosu - myślał szybko - A ile chcecie, zapytał patrzącego na niego oficera – „No dwa litra – odrzekł oficer. Skolko stoit?” - Jan podał cenę z tak zwanej górnej półki na co oficer kiwnął tylko głową i rzekł – charaszo!- Jan pobiegł do pokoju, wziął dwie litrowe butelki i wyszedł z towarem do Rosjan. Jeden oficer wziął jedną butelkę, drugi drugą – powąchalili je i pokiwali głowami. Oficer, który rozmawiał z Janem, podał mu pieniądze. Było tego nawet więcej niż Jan zażądał. Na zwróconą uwagę, że pieniędzy jest za dużo – oficer machnął tylko ręką. Ale z czego my budiem pit – zapytał - zobaczył kankę dużą z jednym uchem i rzekł: - A wot dawaj tu wady i jeszcze stakanczik. Jan poszedł do szafy i wyciągnął cztery poniemieckie kufle z przykryfkami – zapytał – czy to może być? - Da charoszije. Oficerowie wpakowali to wszystko do samochodu, a jeden rzekł do Jana – „pajediosz z nami” Jan był trochę wystraszony, ale posłusznie wsiadł do gazika i ruszyli przez wieś. Minęli tory kolejowe i wyjechali za wieś w pola. Ujechali jakieś pół kilometra i zatrzymali się przed łąnem zboża wysiedli z niego każdy wyciągnął swoją pałatkę i ruszyli w zboże tak pięć może siedem metrów. Tam zaczęli ugniatać zboże nogami robiąc taki ugniety placyk, gdzieś półtora metra na półtora - rozłożyli pałatki, usiedli na nich i na kawałku wolnej pałatki kazali usiąść Janowi. Nalali prawie połowę kufła bimbru i podali Janowi – „Ale ja nigdy nie piłem wódki” - odparł Jan lekko przestra-

szony taką ilością bimbru. „To użę czas naczynat” – padła odpowiedz. Jan czuł, że protesty nie na wiele się zdadzą, więc przystawił usta do kufła i wypił całą zawartość od razu - oddał kufel, przez chwilę słyszał rozmowy Rosjan - poczuł jeszcze wirowanie w głowie i stracił przytomność.

Obudziło go zimno - zobaczył gwiazdy i nie bardzo w pierwszym momencie zdawał sobie sprawę, gdzie jest. Dopiero po chwili zauważył kołyszące się zboże. Zaczynał jażyć – że leżał na gołej ziemi a raczej na ugniecionym zbożu a obok stoi kanka, kufle i dwie puste butelki. Zimno wzdrygało ciałem. Pozbierał wszystko; kufle włożył do kanki, a butelki pod pachę i ruszył do domu.

Kiedy pani Katarzyna Kolaczek przyszła z kościoła, początkowo nie martwiła się, że nie widzi syna, dopiero po jakimś czasie poszła do sąsiadki i zapytała, czy nie widziała Janka – ta odrzekła, że był samochód z Rosjanami i że z mimi gdzieś pojechał. Szybko pobiegła do drugiego domu i tam też pytała o syna. Sąsiedzi nic nie wiedzieli... Poszła jeszcze do trzecich sąsiadów, ci stwierdzili, że wóz z oficerami rosyjskimi zjechał po niego i go gdzieś zabrali. Kobieta wpadła w rozpacz. Męża mi na Sybir wzięli, a teraz jeszcze syna uprowadzili, co robić, co oni od niego mogą chcieć. W krótkim czasie w domu u Kolaczków zrobiło się zbiegowisko. Ktoś rzucił hasło, że trzeba by jechać do ruskich i zapytać. Na końcu wsi stała ich jednostka łączności, inni uspokajali mówiąc, co im dziecko winne, zabrali to i przywiozą. W końcu postanowiono, że trzeba iść do ruskich na koniec wsi i zapytać o chłopca. Tak też zrobiono. Kilka osób poszło z Kolaczkową ale okazało się, że dziecka tam nie ma. Rosjanie zadzwonili do sąsiedniej jednostki, ale i tam nikt im nic nie wyjaśnił. Sugerowano, że może zabrano go do Legnicy. Kolaczkowa zapłakana wróciła do domu. Tymczasem Janek wracał do siebie. Widział, że nigdzie się już nie świeci tylko w swoim domu zauważył światło, wszedł do sieni, a następnie do kuchni z całym majdanem, który niósł w rękach. Gdy go mama

zobaczyła podbiegła do niego i krzyknęła: Gdzieś ty synu był? Poczula też od niego zapach bimbru. – Niewiele się zastanawiając wyrznęła go w twarz a następnie w głowę kilka razy. Przestała dopiero, gdy krzyknął: „No co mnie bijesz to Rosjanie mnie upili!”

Ojciec pana Janka - Wiktor Kolaczek wrócił do Polski z Syberii w 1948 roku. Na podstawie porozumienia z Rosjanami, część Polaków mogła zgłosić się na ochotnika do wojska. Wiktor Kolaczek wybrał to rozwiązanie. Jednak, ze względu na stan zdrowia, do wojska go nie przyjęto. Był chory: wszystkie zęby mu się ruszały, miał częściowo przemrożone płuca. Podpisał dokument, że z nikim nie będzie rozmawiał na temat tego gdzie, był i co robił i po różnych perypetiach wrócił do Schodnicy koło Borysławia a stamtąd pojechał za rodziną do Polski.

Pan Jan w Workucie pracował przy koniach, które ciągały wózki z wagonikami. Warunki pracy i życia okropne. Czasem podbierał koniom garść owsa i go żuł. Po pracy w kopalni wykonywał jeszcze różne dodatkowe czynności w warsztacie łącznie ze sprzątaniem. Któregoś dnia znalazł kawałek mościeżnej rurki z której zrobił cztery sygnety. Podarował je kolegom. Sygnety bardzo się podobały. Ktoś z obsługi obozu pokazał jeden z tych sygnetów komendantowi, ten złożył zamówienie na kilka sztuk, następnie posypały się dalsze zamówienia w zamian za to dostawał kartki na jedzenie: których w obozie było trzy rodzaje; dla więźniów dla obsługi i dla kierownictwa obozu. W ten sposób dotrwał a ż do momentu zgłoszenia się do wojska.

Rabunek mienia

Wojna to nie tylko ginący ludzie i mocujące się armie. To także niszczenie dobytku ludzkiego, grabież dóbr materialnych i kulturalnych narodów. Druga Wojna Światowa pod tym względem była szczególna. Niemcy grabili dzieła sztuki, muzea, kościoły i magazyny, niszczyli pomniki i pamiątki

narodowe, rabowali ludzki dobytek. Ponad 60 tysięcy dzieł sztuki, obrazów, rzeźb – nie wróciło do dzisiaj do Polski. Na jeszcze większą skalę, częściowo w ramach reparacji wojennych, czynili to Rosjanie. Na Ziemiach Zachodnich szukali szczęścia także szabrownicy, przyjeżdżali z Polski i grabili opuszczone domy, pozostawione fabryki czy mieszkania. Nierzadko też ograbiali mieszkających jeszcze Niemców z ich mienia. W konsekwencji tego wszystkiego ludzie wiele rzeczy ukrywali, chowali, zakopywali, a nawet niszczyli, – byleby nie wpadły we wrogie ręce. Czynili tak Polacy, Żydzi, a w końcowej fazie wojny na bardzo dużą skalę także Niemcy. Dziedzic Kowalewski przed wywózką rodziny na Sybir zakopał w sadzie pod gruszą swój dobytek, byleby nie dostał się w ręce Rosjan (o tym już pisałem). Przy kopaniu dołu pomagał mu leśniczy Występek. Gdy Edward Polak odwiedził Łukowiec, mieszkającemu w jego domu Ukraincowi powiedział, że tu obok studni zakopana jest beczka ze spirytusem jak chce, to może ją sobie odkopać. Ukrainiec uważał to za żart, ale słowa te nie dawały mu spokoju i któregoś dnia wziął szpadel i zaczął we wskazanym miejscu kopać. Na głębokości 60 cm trafił na coś, co wkrótce okazało się beczką. Przywołał sąsiada, podkopali beczkę, a następnie wbili w dolną część beczki kranik i polał się spirytus. Następni Polacy odwiedzający Łukowiec dowiedzieli się, jak to Ukrainiec mieszkający w domu Edwarda Polaka przez dwa miesiące raczył się z sąsiadami polską okowitą. Jan Kuchta, gdy pojechał na Łukowiec usłyszał, od zamieszkującego jego dom Ukrainca takie słowa: „Jak pan coś tu ma ukryte, to proszę wziąć. Ja pretensji do tego mieć nie będę”. Pan Jan mówił - roześmiałem się tylko, nic tam nie ukryłem. A po chwili dodał: „Ukryłem karabin wraz z pociskiem w drewnianej skrzyni, ale w lesie, po tylu latach tego miejsca bym jednak nie znalazł. Las rośnie zmienia się – zresztą po co mi to teraz” Słyszałem też, że jeden z łukowian miał ukryte pod fundamentami domu pieniądze, w ferworze przygotowań do przesiedlenia zapomniał o nich.

Gdy rozmawiałem na te tematy z panem Janem Kuchtą, zauważył, że pan Henryk Liberman bardzo chciał jechać na Łukowiec.

Kilka razy o tym mówił, zawsze jednak coś stawało na przeszkodzie jego wyjazdowi, a to raz zachorował, innym znów razem jechał z nimi ksiądz i jak mówił doszli do wniosku, że zapraszać rabina nie wypada, no tak przynajmniej twierdził. Uważał, że ta chęć odwiedzenia swoich rodzinnych stron mogła wynikać z tego, że on tam po prostu coś zostawił.

Niemcy także opuszczając Ziemię Zachodnią i Północną poukrywali znaczną część swoich majątków w ziemi, w piecach w murach, gdzie, kto tylko mógł i liczył, że ludność na-pływowa tego nie znajdzie. Nawet w takiej małej wsi jak Wały Śląskie w kilku miejscach ludzie znaleźli jakieś poukrywane ciuchy, zegarki i łańcuszki czy zastawę stołową. Kiedyś i ja postanowiłem porządnie obkopać krzaki czarnej porzeczki, które dobrze plonowały, a które znajdowały się w ogródku za naszą stajnią naprzeciwko domu państwa Skoczków. Gdy wbiłem szpadel w ziemię, poczułem opór. Myślałem, że to kamień czy kawałki cegieł, postanowiłem to wykopać. Po kilku próbach wydobywania z ziemi tego czegoś zauważyłem na powierzchni białe kawałki porcelany. Zacząłem delikatnie odgarniać ziemię i wyciągnąłem na powierzchnię 12 talerzy z porcelany bawarskiej. Niestety sześć było już pogruchotanych. Pozostałe sześć mama wyparzyła wrzątkiem i wstawiła do szafy. No niby nic, ale ktoś je tam ukrył i ktoś nie chciał, aby wpadły w „polskie ręce”. Kiedy chodziłem do trzeciej czy czwartej klasy szkoły podstawowej, Tadek Łoziński z Kręska (obecnie wieś ta należy do Brzegu Dolnego) znalazł na swojej posesji, na której był poniemiecki młyn, całe wiadro 10, 15 i 20 fenigówek cynkowych. Chłopcy z pobliskiej szkoły ustawili się w kolejce, a Tadek każdego raczył garścią monet. Gdy i ja się o tym dowiedziałem także tam pobiegłem. Tadek wszystko już rozdał. Widząc jednak moją zafrasowaną minę wsadził rękę do kieszeni i wyciągnął jeszcze kilka monet, którymi mnie obdarzył.

Jeszcze inne zdarzenie miało miejsce w innym domu na Wałach Śląskich. Polka wylewała wodę po praniu w obrębie podwórka, Niemkę to bardzo irytowało. Zwracała jej nawet uwagę, że wody nie należy wylewać na podwórzu, tylko nieco dalej. Gdy Niemcy wyjechali, jakoś przypadkowo ktoś zaczął na podwórku, kopać i trafił na beczkę z ciuchami – niestety wszystko były już zapleśniałe i przegniłe.



Zdjęcie przedwojenne w sadzie za domem
od lewej : Helena, Maria, Aleksandra Kosarewicz



Zdjęcie przedwojenne w sadzie za domem
od lewej : (w tle) Tadeusz, Marian, Maria, Mikołaj, Aleksandra Kosarewicz
z tyłu: Helena, Władysław Kosarewicz



I Komunia Św. - Józef Gajewski z żoną i córką Stanisławą



I Komunia Św. Stasia Twardochleba
 od lewej: Józefa Twardochleb - córka Łukowianina Piotra Kowala
 Marian Burdzy - mój ojciec, chrzestny Stasia, Pani Twardochlebowa -
 mama Pawła Twardochleba i Paweł Twardochleb
 u dołu dzieci - Jerzyk i przyjmujący komunię Św. Staś



Władysław Maślanka
syn Jana
Zdjęcie z lat 50-tych.



Jan Maślanka



Jan Kolaczek z lewej i Wiktor Lach, który zginął w okolicach Borysławia - wraz z matką podczas wyprawy na wieś po żywność w 1945r.



Widok Schodnicy



Katarzyna Zofia Kolaczek
mama Jana Kolaczka



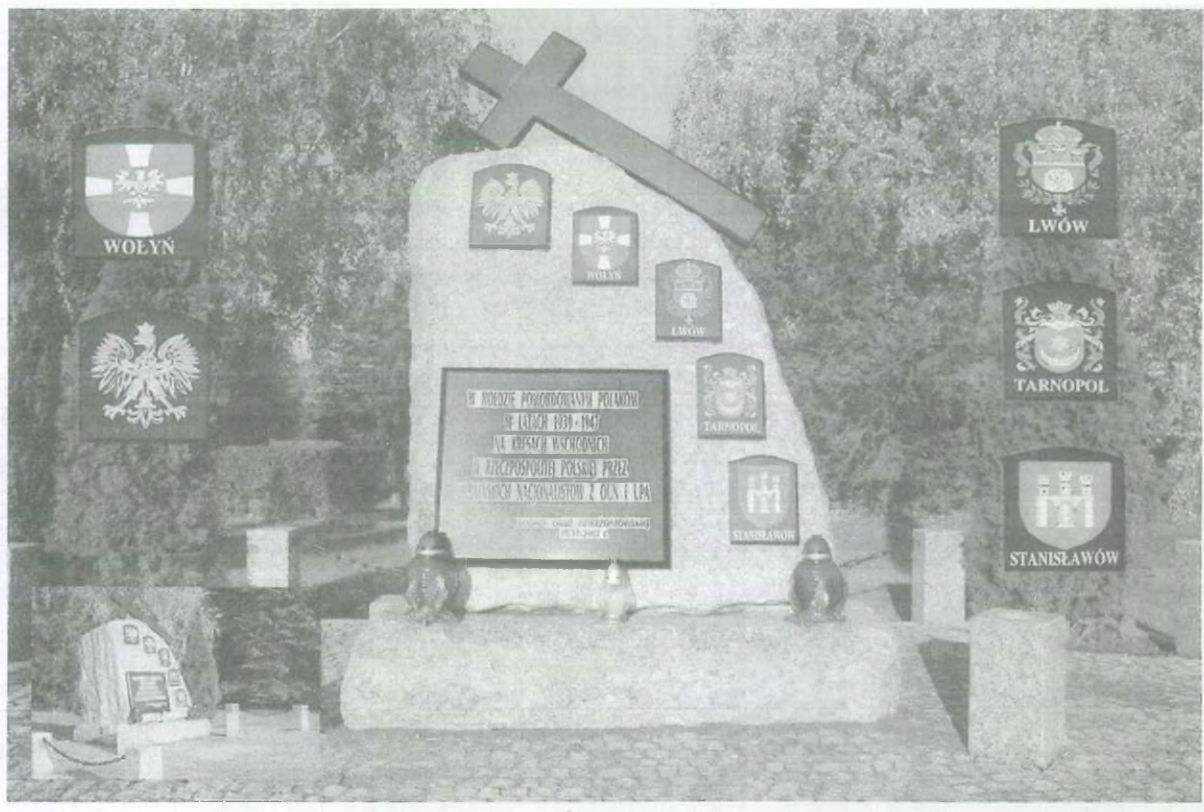
Wiktor Kolaczek
ojciec pana Jana



Wiktorja Malec - Łukowianka
zdjęcie powojenne



Franciszek Malec - Łukowianin
zdjęcie powojenne



Pomnik odsłonięty 19.10.2007r. w Dzierżoniowie dla upamiętnienia ludobójstwa na Kresach na narodzie polskim (zdjęcie przesłane mi przez Pana Kazimierza Ozgę)

Szkolny Powie' Franciaku.

Bo abyś obywatel czoła, przesyłam Pieni jakims' może stopni-
zawymyślnie wykazy Łukowian. Wykazy te uzupełnili i popra-
wili Łukowianie stercy odemnie i mien' mniejsz że
dane są prawdziwe, choć reprezentować nie można.

Kiedys wspominałem Pieni że byłoby dobre pomieszcze'
w zesztych wykaz mieszkanców Łukowa. Ale teraz się
przekonałem jaki to dla Pieni stanowić będzie problem
w czasie wypełnianym, z rodzynych przynym me Łukowian
były cięgie Żmian, jedni emigrowali ze grońis, inni
wyjechali do innych miejscowosci, a inni ze strachu
osiedlili się na Łukowian stąd trudności w określeniu
właściwego stanu. A ostatek po takim okresie czasu
to trudno o przypomnienie sobie. mimo to niedługo
jaki tylko żyjący Łukowianie, jeszcze sporo przemyśleć.

Wykazy pogrzebali lub uzupełnili między innymi:

1. Stanisław Franc (zot. z domu)
2. Julia Martka (zot. Krawiec)
3. Kazimierz Wojas (zot. Martka)
4. Kazimierz Sobala
5. Kazimierz Ptak (zot. Pawlik)

Na koniec przesyłam Pieni Kazimierz Ptak
które podaje własną wersję spisu, z nieznanym
nazwami ulic. Pieni Ptak pisze mi. cytuję.

Wiem się bardzo że mógłbym pomóc chociaż
trochę w pisaniu historii Łukowa. Po przesłaniu
nazw mieszkańców mi listy mieszkańców Łukowa

staniełom się przypomniał tamte czasy, co pamiętałem
naprawdę, Lukowscy Zmarli zmarli obok, a
z pamięcią w tym czasie nie było, a Lukowscy Stary
to tyle nie mogłem i nie chciałem.

W piśmie pomagał mi człowiek Tadeusza Pawła
który mieszkał w sąsiedztwie z Burzym Karolem, W.

Pani Kwiecień przestała też zająć się z N. Lukow
którego ostatecznie zajął.

Nawet o tych ludziach, których naprawdę Pan
niekiedy widział, to jak Pan z tej misją
zrobił jakiś zbiórkę. Tzn. to i można
być pewnym. No ale jakimsi stopniem
to odpowiedź prosi.

Porównując do wspomnień Pana o powrocie
z USA pisałem Brata, to N. Bratowski też
mi wspominał o miłym spotkaniu z nim
i przygotował nawet do pomocy wspólnie.

Najbardziej, co mogłem to zrobić
choć nie miałem odpowiedni materiał, dlatego
mimo powątpienia, udało mi się już trochę spotkać
Lukowiczów, a do tego z odpowiednim pomysłem.

Resztą porozmawiaj i zapytaj aby z powrotem
udało mi się Panu, zakończył pismo ostatecznie
zapyta Lukowiczów.

J. meler

Opole 12 października 2009

Kochamy Franku!

Wybacz że powstaje, ale Twoje stanowisko wobec naszego Ojca w ostatnich "zeszytach" ... usprawiedliwia je, na ile tego, co z tego drugie się wobec Jego osoby w ostatnich mesach.

Moje liście obowiązu (opieka nad Anną i w soboty i niedziele nad Ojcem) powodują, iż takie sprawy jak korespondencja schodzą na dalszy plan.

Po latach "tłustych", kiedy o Ojcu czytaliśmy dobre rzeczy, dopiero nam po prostu przysłał te "chudo", z którym poroli dopiero sobie radę. Idzie nam to o tyle opornie iż, zbiegło się to z chorobami (udar mózgu) pobytami w szpitalach, wznowieniem opieki po pomocy do domu.

Oprócz Twojego stanowiska edytuję się jeszcze jeden mój incydent - telefon od pana, który po artykule w prasie (porównaniu) chwał Ojca formac. Było to dla nich obu wielkie przeżycie, dla mnie wtedy też.

Myślę sobie, że byłoby dobre spotkać się u nas w Opolu na Krakowskiej, w którejś sobotę lub niedzielę (co wtedy ja opielam się Nini).

Penicylina mój mój jest bierzo po razie i od 20 października do 10 listopada jedzie na rehabilitację do Głuchotaj - tego terminu proszę mię pisać pod ten adres.

erke

Proszę mybaczyć mi ten chaos w liście, ale
gdy chodzi o tematykę związaną z osobą
Ojca mam silne emocjonalne myśli, wrastające w
adrenalinę a co za tym idzie i cisnienie.

Inesistencja Ojca, duża część jego byłam moim
dzieciwem z list jego Tomaszowi Brzuchowi
kiedy nie miałem czasu, spychano do podziemia
się, iż mimo zainteresowania historią wybrzeża
chciał być tylko laureatem studiów. W młodości odci-
nając się od niej, ale dziecięca Anna Smoleń-
wiera podjęła kontynuację kariery Ojca z Pio-
nem, pisał co i my nie możemy porzucić
obojętnie.

Moja kochana Mama aprobowała moje bierność
nawet tych spraw (niezależnie od mojej krawędzi)
ale nie w obecnej sytuacji musiałam (a raczej
musielismy) podjąć dietę, bo nie możemy
być obojętni wobec dietetyki niegigienicznej
wzajemny dobroć i tak. Żyjemy tylko, że pragniemy
się do stressu odnowić po całym smutku i smutku, które
po-dobnie jest moja Marusia musieliśmy przerwać
później latami bezmyślny spacer kłó- smutku i smutku.
Podaję Ci mój numer komórkowy 7840 56 160
a w piśmie 16 parokrotnie po 22⁰⁰ będa już
na kłótni pod numerem 97 454 30 12.

Pozdrawiam Elżbieta Tichak-Król

W toku prowadzonego postępowania sprawdzającego ustalono, że w dniu 18 września 1995 roku Okręgowa Komisja Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu we Wrocławiu wszczęła śledztwo S.4/95/UB w sprawie bezprawnego pozbawienia wolności Adama Burdzego oraz fizycznego i moralnego znęcania się nad nim, a także spowodowania u niego ciężkich obrażeń ciała skutkujących jego śmierć przez funkcjonariuszy PUBP w Środzie Śląskiej w grudniu 1946 roku tj. o czyn z art 165§2kk i art. 184§1kk w zw. z art. 10§2kk.

W wyniku przeprowadzonego postępowania ustalono, że sprawcami zbrodni popełnionej z pobudek politycznych (*tj czynów określonych w art. 246kk, 248§2kk, 230§2kk w zw. z art. 291kk z 1932 roku*) byli ówcześni funkcjonariusze PUBP w Środzie Śląskiej: **Kazimierz Barcicki**, który zmarł w dniu 15.06.1980r. oraz **Mikołaj Snopek**, który zmarł 28.05.1987 roku.

Postanowieniem z dnia 30 września 1996 roku Prokuratura Rejonowa w Środzie Śląskiej na wniosek OKBZpNP we Wrocławiu umorzyła śledztwo Ds. 859/96 wobec śmierci wyżej wymienionych sprawców, które to postanowienie w dniu 25 10.1996 roku zostało doręczone (*dorosłemu domownikowi*) Józefowi Burdzu-synowi pokrzywdzonej Weroniki Burdzy.

Otrzymałem ten kawałek dokumentu od pani Bogusławy Dębickiej, córki Adama Burdzego.

Dzierżonów, 8. XI. 2010r.

Sz. Franciszku!

Nasze listy nie poróżniały Pasa i Pańską rodzinę.
Dawno już nie mieliśmy z sobą kontaktu, ale ja utrzymuję go
z innymi Łukowianami, znanymi dla Pasa (np. Kazio Furtek z Lubina,
Marek Miśkiewicz z Osieka, Matek Tadeusz z Chomigiz, Sędz. Edek z Rzeszowa)
Więc co nie co orientuję się w sytuacji. Dobrze że Paś za miesiąc jeszcze
cos wydać, bo to ostatni dzwonek. Większość Łukowian już nie żyje,
a ci co pozostali nie bardzo pamiętają i nie chcą współpracować ze
względem na wiek min. Solomon Władysław (ponad 80 lat) - tel. 75-742-33-22,
Józef Mieczysław z Łukowa (89 lat) i Józef Brounów (1939) oraz Józef Tadeusz
z Żurawa chroniący się na Łukowie (87 lat) - tel. 75-742-33-56. Dobrze zorientowa-
wszy zamieszkali w Kresowie k/ Kamienną Górę, Miastko w Białymostku.
Jest jeszcze aktywny Kochman Mieczysław w Kamienną Górę (58-60) ul. Wysoka 23
ale on chroni się tylko na Łukowie, na ul. Hołszowskiej u Marka, wraz
z Włodkiem Stanisławem i Ostrowskim Józefem. Był ze mną ostatnio (2008.)
na Łukowie. Na Łatach i Starym Dworze nie mam już kontaktu z Łukowianami.
Mimo chęci zabrakło mi czasu aby Paś odwiedzić w Lubinie. Najpierw Szczerbiec
w Korobnie, potem Wyśoka po hłonach, Ziemia Bukacjanów w Szczecinie, Wyjazd do

rodziny na Podkarpacie (Krasno, Rzeszów, Kolbuszowa, Leżajsk, Lesko, Jasło itd.)
Kilka wyjazdów na zaproszenie Kresowian (TML, KPa) m.in. do Wrocławia,
Kędzierzyna Koźle, Świdnicy, Legnicy. No i imprezy w Dzierżonowie (ogólna oraz
3 i 8 maja, 14 lipca, 1 i 17 września, 11 listopada - przemianę pod pomnik)
Składanie życzeń wraz ze społecznością Dzierżonowa na czele z orkiestrą dętą.
No i trochę zajęć w Stowarzyszeniu Kresowian w Dzierżonowie (ostatnio
otrzymaliśmy nowy lokal i był spory remont (malowanie, podłogi, okna).
Na czytanie pięknych książek o Kresach wydawanych przez SMOZAN, piki Jastrzębskiego
z Chorowca, ks. Józefowi Zaleskiemu z Katowic, sp. Edwarda Prusa z Gliwic, prof.
St. Niciej z Opola i wielu innych. Nie mam już czasu. A jeszcze prenumeruję
czasopisma: "Na Rubież", "Seniper Fidelis", "Głos Podolan", "Wiadomości z Kolonii i Polonii",
"Biuletyn Bukacjanów" i inne. Jakiś niedługo jest wyprodukować trochę
A teraz do rzeczy: Ponieważ odznaczam (książki) dużych rozmiarów są nie wygodne
w noszeniu (ciężkie), więc zamówiłem w Warszawie (na życzenie) dla siebie
i dwóch osób, które takie książki otrzymali (w tym dla Pasa). Myślę, że nie
będzie miał Paś za złe, że nie skonsultowałem z Panem. Ale zbliża się uroczysty
dzień 11 listopada - Święto Niepodległości, więc na tą okoliczność może się przydać.
Toteż przesyłam Panu pilnie.

Jeszcze raz dużo dobrego zdrowia

P.S. Jak Paś spotka Kasia Furtek
proszę go pozdrawić odemną.

Kamień Ożywa

SPIS MIESZKAŃCÓW ŁUKOWCÓW

ŁUKOWIEC ŻUROWSKI ZWANY NOWYM ŁUKOWCEM

Ul. Bakocyn

1. Lasota Jan
2. Pawlik Witold
3. Tenderys Anna
4. Polak Władysław
5. Piotroński Walenty
6. Ożga Kazimierz
7. Holder Jucia - narodowości żydowskiej
8. Kopała Władysław
9. Żak Władysław
10. Ożga Stanisław
11. Giermuga Adam
12. Przyłuccy
13. Martyn - narodowości ukraińskiej
14. Kwietnie
15. Schmidt
16. Chłopowiec
17. Winnik - narodowości ukraińskiej
18. Dul Jan
19. Dul Adam
20. Rytwiński Wawrzyniec - miał sklep
21. Burdzy Wojciech
22. Kureń Józef
23. Rogowski Jan
24. Dul Tomasz synowie Bolek, Czesław
25. Ożga Michał
26. Winnik Stanisław - narodowości ukraińskiej
27. Ożga Jan
28. Sondej Józef
29. Olech Karol
30. Czech Marian
31. Tenderys Jan
32. Woźny Ludwik

**przy ul. Bakocyn mieszkali Polacy-
pochodzili z Łukowca a
administracyjnie należeli do wsi
Nowoczyn - były to rodziny:**

1. Bak Józef
2. Wolak Antoni
3. Chorzępa Józef
4. Stroński Antoni
5. Jadach Antoni - kowal

6. Jasiński Józef
7. Rębisz Antoni
8. Burdzy Jan - zwany Królik
9. Krzyżak Antoni

Ul. Żydowskie „Tereberze”

1. Zasański Bronisław
2. Mroziński Józef
3. Tęcza Franciszek
4. Sroga Alojzy
5. Opioła Franciszek
6. Oleśko Karol
7. Opioła Michał
8. Mytych Jan
9. Tęcza Stanisław
10. Jesionka Stanisław
11. Jesionka Józef
12. Jesionka Franciszek
13. Rączka Adolf
14. Kopała Antoni
15. Kopała Konstanty
16. Kopała Władysław
17. Terenty Jan
18. Piotrowski Józef
19. Jasiński Stefan
20. Polak Władysław
21. Pawlik Witold - rolnik
22. Lasota Jan
23. Ciągło
24. Chorzępa Antoni
25. Wolak Antoni
26. Woś Bronisław
27. Żak Jan
28. Waszkiewicz Józef
29. Żany Stanisław
30. Bonaty Michał
31. Jarosz Józef
32. Burdzy Józef - sklep
33. Tęcza Stanisław - murarz
34. Możdzech Józef
35. Kosydor Józef - wyjechał do Bolechowa
36. Gałka Bolesław wyjechał do USA
37. Jania
38. Oleśków Józef
39. Maziarz

Ul. Holeszowska

1. Szyszka Wincenty
2. Kubala Józef
3. Rogala Józef
4. Jarosz Michał - rolnik - posiadacz ziemski

5. Iwanicki Filip –rolnik – właściciel sklepu
6. Iwanicki Stefan – rolnik – syn Kazimierz
pułkownik wojska polskiego
7. Ślepokura Wojciech – podoficer wojska
polskiego
8. Kogut Michał
9. Tęcza Stanisław
10. Babula Józef – rolnik – kołodziej
11. Kubala Jan
12. Zając Józef –rolnik
13. Pawlik Maria
14. Dec Franciszek –rolnik
15. Hodor Stanisław –rolnik
16. Gładysz Wojciech – rolnik
17. Stec Jan – rolnik
18. Kopeć Antoni –rolnik
19. Kościelniak Franciszek –rolnik
20. Knaga Tomasz –rolnik
21. Tęcza Franciszek –rolnik
22. Bak Władysław – rolnik – kowal
23. Dudek Wojciech –młyn o napędzie
wiatrowym, pszczelarz, mechanik
24. Rogowski Jan – rolnik
25. Rogowski Maciej –rolnik
26. Cuber Józef – rolnik
27. Kosarewicz Michał – rolnik – syn
Tadeusz po wojnie scenarzysta filmowy
28. Sudoł Tadeusz
29. Grdeń
30. Dziuba
31. Kosarewicz Mikołaj – rolnik
32. Kobylarz Walenty – rolnik
33. Pudlak Józef –rolnik
34. Szostak Ludwik –rolnik – szewc
35. Sutyła Franciszek
36. Kobylarz
37. Bal Bartłomiej – rolnik
38. Bal Jan –rolnik – sołtys
39. Bzikot Jan – rolnik
40. Miśkiewicz Jan –rolnik
41. Chudzik Władysław – mieszkał w szkole
– kierownik szkoły
42. Kołodziej Jan –rolnik, woźny szkolny
43. Górz Feliks – rolnik – spokrewniony z
księdzem Galikiem
44. Górz Stanisław – rolnik
45. Kowal Jan – rolnik
46. Szot Ludwik – rolnik
47. Kowalowa
48. Kureń Leon – rolnik
49. Kureń Józef –rolnik
50. Serafin Franciszek
51. Skrybant Michał –rolnik
52. Piekarz Maciej
53. Piekarz Paweł
54. Tęcza Karol –rolnik
55. Rogowski Michał - rolnik- krawiec
56. Sobala Piotr –rolnik
57. Klimas Józef syn Kazimierz rolnik
58. Marut Szczepan –rolnik
59. Marut Stanisław –rolnik- szewc
60. Puzio Franciszek – rolnik, wikliniarz
61. Grębowiec Piotr – rolnik
62. Dydyński Kazimierz – rolnik –
pszczelarz – kolejarz
63. Sobala Michał – rolnik
64. Cuber Piotr– rolnik
65. Groszek Jan – zamordowany przez
Ukraińców
66. Piekarz Piotr
67. Burdzy Jakub – rolnik
68. Burdzy Stanisław –rolnik
69. Baran Wojciech – rolnik – działacz
samorządowy
70. Baran Andrzej- rolnik
71. Sudoł Michał –rolnik
72. Garboś Bronisław –rolnik
73. Martka Tomasz – rolnik
74. Sudoł Franciszek – rolnik
75. Winogradzki Walenty –rolnik –
wieloletni kościelny
76. Kureń Andrzej – rolnik
77. Tęcza Bartłomiej – rolnik

Ul. Zielona

1. Meretka – zastrzelony przez rabusiów w
1943 r.
2. Kozioł Jan
3. Gwoździeński Antoni
 4. Gwoździeński Jan
 5. Halicki Konstanty
 6. Janusz Józef
 7. Tokarz Bronisław
 8. Burdzy Franciszek
 9. Misa Franciszek
 10. Ostrowski Jan
 11. Żak Władysław
 12. Malec Franciszek – tkacz
 13. Tęcza – Dworak
 14. Szot Julian – szewc
 15. Wojtowicz Wojciech –sklep

16. Krawczyk Michał –szewc
17. Cuber Feliks – właściciel dużego gospodarstwa
18. Partyka Agnieszka – mąż Franciszek w Kanadzie
19. Partyka Bronisław- rolnik – drugi zawód kucharz
20. Chmielowiec Wojciech –rolnik
21. Nitek Antoni
22. Cygan Andrzej
23. Cygan Antoni
24. Cygan Józef
25. Furtak Karol –sklep
26. Sutyla Maria
27. Kureń Stanisław
28. Szot Stanisław – rolnik
29. Rębisz Józef – rolnik
30. Furtak Józef
31. Paciorek Honorata
32. Cisowski Władysław – rzeźnik
33. Grdeń Wincenty
34. Bławat Wojciech
35. Chrostek Franciszek - gajowy
36. Majewicz Jan
37. Krzyżak Władysław
38. Drozd Adam
39. Kobylarz Stanisław
40. Piekarz- Gancarz Ludwik
41. Szot Michał –szewc
42. Jarosz – Cygan Jan
43. Zięba Maria

Ul. Dolna Zielona

1. Szwed Michał – zwany czarnym Michałem
2. Brzuszek Ludwik
3. Kozioł Aleksander
4. Kozioł Edward – wikliniarz
5. Drozd Józef –działacz samorządowy - syn Franciszek kapitan AK
6. Woś Leopold – rolnik- pszczelarz
7. Górak Wincenty –rolnik i pracownik alabastrowi
8. Dudek Stanisław–rolnik-pszczelarz
9. Kopeć Antoni – nauczyciel- zięć Dudka –zmarł przed wysiedleniem na Zachód
10. Krawczyk Mikołaj – zamordowany przez Banderowców
11. Salamon Bronisław
12. Sikora Stanisław – rolnik i

- sezonowy robotnik
13. Majdański Józef – rolnik i sezonowy robotnik
14. Sabat Stanisław – rolnik
15. Misa Antoni
16. Ożga zwany Abraham
17. Babula Franciszek – rolnik –stolarz meblowy
18. Babula Władysław – rolnik, żołnierz AK

Ul. Nidwy

1. Martka Józef
2. Martka Marcin
3. Misa Józef
4. Radomski Kazimierz
5. Garboś Jan
6. Gancarz Franciszek
7. Jeniec Kazimierz
8. Jeniec Franciszek
9. Broniewicz Franciszek –cieśla
10. Kobylarz Adam
11. Jaskóła Błażej
12. Wdowiak Jan
13. Targosz Józef
14. Kachel Franciszek – siłacz podnosił zębami stół i beczkę piwa
15. Fiołek Leopold
16. Kachel Józef
17. Ziarkowski Jan
18. Ziarkowski Wojciech
19. Ziarkowski Franciszek
20. Dziuba Stanisław
21. Dziuba Michał
22. Zając Józef
23. Kotulski Jan
24. Turbak Jan
25. Zawiślak Kazimierz

Ul. Kamień

1. Martka Wojciech
2. Hardyn
3. Probala
4. Pasek Kazimierz
5. Miśkiewicz –bankier płaczek
6. Iwanicki Michał
7. Kwiecień Józef
8. Gancarz Franciszek
9. Fiołek Leopold
10. Prus Jan
11. Prus Józef
12. Prus

13. Izdebski
14. Połowniak
15. Miśkiewicz Adam
16. Bednarz Błażej
17. Kubala Franciszek
18. Kuchta Jan
19. Paczkowski Bolesław
20. Jeniec Franciszek
21. Jeniec Wojciech
22. Probala Kazimierz

ŁUKOWIEC WIŚNIEWSKI

ZWANY STARYM ŁUKOWCEM

1. Sudoł Stanisław
2. Starkiewicz Jan
3. Starkiewicz Stanisław
4. Kryciński Feliks
5. Delczyk Józef
6. Krawiec Józef
7. Skowron Jan
8. Cacaj Józef
9. Litwinski
10. Chrzastek Bronisław
11. patro
12. Stadnik Antoni
13. Sudoł Wojciech
14. Krawiec Wojciech
15. Dąbal Agnieszka
16. Sroga Marian
17. Szwed Karol
18. Janusz Jan zwany Wór
19. Szwed Feliks
20. Puzio Jakub
21. Pawlik Kazimierz
22. Majdański Tomasz
23. Mróz Franciszek
24. Krawczyk Tadeusz - malarz
25. Małkiewicz Anna
26. Burdzy Karol
27. Majdański Jan- stolarz
28. Watras Walenty
29. Kozioł Antoni
30. Siekierski Michał
31. Szczęch Antoni
32. Lejba Adam
33. Cebula Jan
34. Stadnik Michał
35. Stadnik Władysław

36. Zięba Piotr –wyjechał do USA
37. Tenderys Michał
38. Kantor Antoni
39. Szczęch Adam – rolnik i gajowy
40. Kalita Tomasz
41. Gawel Józef
42. Krawiec – Barciś
43. Puzio Piotr
44. Woś Józef
45. Świątek Antoni
46. Malec Stanisław
47. Grdeń Kazimierz
48. Dziuba Feliks – Kramarz
49. Ożóg Bronisław (Korytarz)
50. Drozd Michał
51. Drozd Władysław
52. Domański
53. Szot Antoni
54. Piekarz Antoni
55. Szewczyk Andrzej
56. Chudzik Wojciech
57. Iskra Władysław
58. Burdzy Władysław - Masek
59. Piechuta Andrzej
60. Siekierski Franciszek
61. Wyka Andrzej
62. Janusz Adam
63. Malec Józef – ulica But
64. Siekierski Michał
65. Janusz Wojciech - But
66. Kosior Andrzej
67. Kata Adam
68. Kosior Wojciech
69. Kosior Wawrzyniec
70. Węglarz Michał - But
71. Łukawska Anna
72. Janusz Jan
73. Ożóg Andrzej - But
74. Puzio Władysław
75. Kowal Władysław
76. Jung – Salamon - But
77. Marek Wincenty
78. Furtak Kazimierz
79. Jeniec Kazimierz
80. Siekierski Jan
81. Wojnas Piotr – stolarz - But
82. Korczyński Piotr
83. Ziemiański Piotr
84. Dziuba Józef
85. Babiak Józef

86. Krawiec Józef
87. Faszynkieder Antoni
88. Szulak Katarzyna
89. Sendyka Ludwik
90. Kozdroń Stanisław
91. Kurpisz Jan – Wętyczko
92. Miszczak Antoni
93. Chrapek Szczepan
94. Wołowiec Michał
95. Drapała Szczepan
96. Wołowiec Józef
97. Chmura Józef
98. Kosior Wawrzyniec
99. Jała Stefania
100. Pomykała Władysław
101. Gildener (narod. żydowskiej)
102. Krutysa Józef
103. Bittner (narod. żydowskiej)
104. Martka Jan
105. Martka Władysław
106. Martka Józef
107. Szewczyk Jan i Halina
108. Lejba (narod. Żydowskiej)
109. Dikman (narod. żydowskiej)
110. Saja Antoni
111. Kućma Józef
112. Krauzer (narod. żydowskiej)
113. Kućma Stanisław
114. Grdeń Franciszek
115. Chmura Maria
116. Ziemiańska Zofia – sklep
117. Wierzbicki Jan -młynarz
118. Chrzastek Jan
119. Maciąg Andrzej synowie Dolek i Leon - księża
120. Dziubak Wojciech
121. Saja Marcin
122. Skrybant Ludwik – córka Izabela – Tercet Egzotyczny
123. Połowniak Kacper
124. Rejman Józef
125. Polak Maria
126. Kurzawa Jan
127. Kurzawa Antoni
128. Fila Aleksander
129. Stępień Stanisław - wójt
130. Stępień Jakób
131. Kozioł Antoni
132. Meretka Anna
133. Wolak Józef
134. Górz Józef
135. Luboch Antoni
136. Kowal Piotr
137. Kotulski Franciszek
138. Sidor Józef
139. Puzio Józef
140. Maciąg Michał
141. Maciąg Franciszek
142. Skowron Adam
143. Maciąg Stanisław
144. Kotulski Wawrzyniec
145. Kotulski Jan
146. Rytwiński Antoni – fotograf
147. Połowniak Tomasz
148. Pupa Józef
149. Kowal Jan
150. Wróbel Józef
151. Sendyka Antoni
152. Dziuba Stanisław
153. Mytych Antonina
154. Łabuś Antoni
155. Zawiślak Zofia
156. Wąs Bolesław
157. Babula Antoni
158. Mytych Antoni
159. Oko Franciszek
160. Prus Stanisław
161. Tęcza Julian
162. Ordon Jan
163. Ordon Władysław
164. Krzyżak Jan
165. Babula Jan
166. Brzuszek Franciszek
167. Staroń Franciszek
168. Korzystka Władysław
169. Błądek Wojciech
170. Wróbel Antoni
171. Zięba Antoni
172. Garboś Jan
173. Sarama Michał
174. Wilk Adam
175. Zybura Jan
176. Zatorski – właściciel sklepu
177. Onyśków Antoni
178. Ordon Jan
179. Płoskonka Jan
180. Babiak Władysław
181. Przepiórka Jan
182. Kopec Jan

183. Wiśniewski
184. Lepionka Wiktor
185. Stec Wojciech
186. Lepionka Karol
187. Puzio Franciszek
188. Gładysz Wojciech
189. Rączka Antoni
190. Ordon Piotr
191. Przepiórka Antoni
192. Koleński Michał
193. Kryciński Kazimierz
194. Puzio Ludwik
195. Szwed Jan
196. Łazica Józef
197. Zembroń Józef
198. Waliłko Józef
199. Reguła Michał
200. Dul Adam
201. Kosior Andrzej
202. Wacyra Jan
203. Mokrzycki Władysław
204. Godyń Antoni
205. Kotulski Adam
206. Maciąg Józef
207. Kozioł Wojciech
208. Kozioł Alojzy
209. Kurzawa Ludwik
210. Starzyk Ludwik

Uwagi do spisu Łukowian!

Pierwszą wersję spisu wykonali pan Jan Kuchta i pan Grzegorz Woś. Wersję tę rozesłałem do kilku osób z prośbą o naniesienie poprawek. Z zadania tego najlepiej wywiązał się pan Tadeusz Malec z Chomiąży, który pokserował spisy i porozdawał je znajomym łukowianom – pamiętającym jeszcze wieś. Najlepszą poprawioną wersję otrzymałem od pani Kazimierzy Ptak z domu Pawlik. Pani Ptak podzieliła Stary Łukowiec na ulice i powypisywała nazwiska mieszkańców tak jak je zapamiętała chociaż spis ten jest niekompletny, bo brakuje w nim około 80 nazwisk, to jednak jest i tak najlepszy. Byłem u kilku starszych osób z Łukowca – niestety wielu z nich nie jest już w stanie nic nowego wniesić do spisów.

Pani Ptak podzieliła Łukowiec Wiśniowski na ulice (ulice te nazywał podobno ksiądz Wanatowicz). Były to takie nazwy jak: Kościelna, Szlachecka Górka, Warszawka, a pani Ptak wymienia jeszcze Bidaczów, Olszany i Międzyaki. Pani Katarzyna nie wymienia nazw But czy Abisynia - , choć też te nazwy były w powszechnym użytku. Pierwszy – bazowy – spis mieszkańców Łukowca Wisniewskiego otrzymałem od Pana Józefa Mokrzyckiego z Wykrotów koło Nowogrodzca. Bardzo pomocnym w uzupełnieniu wykazu Łukowian okazał się też pan Jan Kryciński, który podał mi około 60 brakujących imion gospodarzy. Dzięki niemu spis ma mniej braków. Przy okazji pragnę też podziękować panu Kazimierzowi Ozdze za przesłaną mi mapę Łukowca. Pan Kazimierz zachęca mnie, aby na tej mapie ponumerować domy i u dołu wpisał odpowiadające tym numerom nazwiska gospodarzy. Nie wiem czy jest ktoś dzisiaj w stanie to zrobić – no może ktoś z Chomiąży (pan Tadeusz Malec przy pomocy pani Ptak albo pan Kryciński. Kończąc te króciutkie wyjaśnienia pragnę zaznaczyć, że starałem się, aby spisy łukowian – te z pierwszych wersji jak najmniej poprawiać. Zdawałem sobie, bowiem sprawę z faktu, że jak zacznę w nich za mocno grzebać to stanie się one całkowicie nieczytelne. Pewne nazwiska uzupełniłem, a także wpisałem bardzo dużo imion właścicieli gospodarstw. Należy stwierdzić, że spis odzwierciedla stan rodzin na Łukowcu w około 90% nie więcej. Z pewnością brakuje jakichś nazwisk – myślę też, że mogą być i błędy w imionach gospodarzy, gdyż osoby pamiętające Łukowiec często podają imiona synów czy najstarszych synów jako gospodarza pomijając imiona ojców. Reasumując to, co udało się zebrać – prezentuję:

Odznaczenie

29 września 2009 roku, na pikniku Seniora, w Osieku, koło Lubina zostałem odznaczony Krzyżem Czynu Zbrojnego Polskiej Samoobrony na Kresach Wschodnich Rzeczypospolitej Polskiej, za udział w obronie Polaków na Kresach Wschodnich II RP przed zbrojnymi formacjami OUN-UPA w 1939-1945 roku oraz za Popularyzację i Utrwalanie Pamięci o Ludziach i ich Czynach w Walce o Niepodległość Polski podczas II Wojny Światowej i Po jej Zakończeniu. Wyróżnienie mojej osoby dotyczy oczywiście tej drugiej części tytułu odznaczenia.

Pragnę gorąco podziękować Panu KAZIMIERZOWI OZDZE – Członkowi Zarządu Stowarzyszenia Kresowian w Dzieżdoniowie, z którego inicjatywy nadano mi ten krzyż i który pofatygował się osobiście do Osieka i Lubina, aby uczestniczyć w uroczystym nadaniu mi tego wyróżnienia. Także serdecznie dziękuję Panu Kazimierzowi FURTAKOWI, za udział w uroczystości i wszystkie starania związane z uroczystą oprawą przy wręczaniu mi krzyża.



Siedzę wraz z Kazimierzem Furtakiem

Opracował: Franciszek Burdzy
59-300 Lubin, ul. Ptasia 93
tel. 076 844 60 49



Od lewej: mój syn Michał, ja, Maksymilian Jarmużek, weteran Władysław Górski i pan Kazimierz Ozga.
